



KLECHDY^o STAROŻYTNE
PODANIA I POWIEŚCI
LUDOWE
ZEBRAŁ I SPISAŁ
K. WŁ. WÓJCICKI

ZAKŁADY GRAFICZNE WIKTORA KULERSKIEGO
(GAZETA GRUDZIĄDZKA)





Porwał czolno, płynie spiesznie — wziął tę żabę.

KLECFADY

STAROŻYTNE PODANIA I POWIEŚCI LUDOWE.

ZEBRAŁ I SPISAŁ

K. WŁ. WÓJCIKI.

WYDANIE ILUSTROWANE.



GRUDZIĄDZ

DRUKIEM I NAKŁADEM WIKTORA KULERSKIEGO
1910.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu
nr inw.: K - 38179



BGZs 38179

Do wypożyczenia
tylko w Czytelni



38179
884-3

syf. 884-3

WSTĘP.

•Gmin baśnie praw, bo gmin stare dziecię,
Gmin baśniom wierzy, bo mu przesąd wiara.
Tak mówią mędrcy wzgardliwi, a przecie
Ileż to baśni mieści prawdę starą?
Podania gminu niby sfinksy stoja,
Hieroglifami dokoła okryte,
Co nieraz dziwną symboliką swoją
Głoszą przedwieczne prawdy znakomite
Umiejmy czytać, a wiele tych baśni,
Wiele tych dziwnych fantastycznych znaków,
Iskrą mądrości dla nas się rozjaśni,
Co z Niebios zbiegła do serca prostaków.

Ileż to krąży wśród gminu powieści,
Bajd czarodziejskich o skarbach zaklętych!
W nich leży symbol prawd wzniosłych i świętych,
A świat je w rzędzie dzikich bredni mieści,
Skarby zakłète: Tam w mrocznej pieczarze,
Śród głuchej puszczy stoja beczki złota;
Tam się na stepie stos ognisty żarzy,
Siny płomyzek nad bagnem migota
Owdzie ponure zameczystko w ruinie,
Pod niem podziemia z żelaznemi wroty,
W podziemiach kotły i dębowe skrzynie,
W kotłach i skrzyniach złoto i klejnoty.

Z ust do ust wieść się w okolicy szerzy,
Wiedzą ludziska, gdzie skarby się kryją;
Lecz dotąd ręką nie tknięte niczyją,
Bo pod zaklęciem, bo piekło ich strzeże.
Bo ówdzie rękoma krwawemi
Znieśli te skarby z mordu i łupieży;
Te znowu złane łzami sierocemi,
Na owych krzywdzie sług i kmieci leży.
Owdzie się znajdzie i praca gorliwa,
Owoc zabiegów całego żywota;
Ale i nad tem gniew Boży spoczywa,
Przeklète złoto, zbierane dla złota!

Ich posiadacze, żyjąc tu na ziemi,
Dyabłu swą nędzną duszę zaprzędali,
Co dzisiaj siwym płomieniem się pali,
Z dyabłem czuwając nad bogactwy swemi.
Więc choć do skarbów tych znajoma droga,
Ktoby tam zecheiał z złym duchem wieść boje?
Byli odważni i brali jak swoje,
Lecz jakoś straszno kusić Pana Boga,
Choć zmoże czarta znamię krzyża święte,
Zdobycz nie zawsze zdobywcę z bogaci;
Nieraz i mienie i duszę zatraci,
Bo klątwie wiodą te skarby zaklęte.

Tak lud nam prawi; tak wierzy w prostocie
Baśnią i to marną, przesadę nazwicie?
Wszakże i dzisiaj na szerokim świecie
Skarbów zaklętych spotykamy krocie.
I dziś niejeden, złą chucią wiedziony,
W czarną godzinę wbiegłszy na rozdroże,
Zdarł z nędznej duszy święte znamię Boże,
By za grosz marny dać ją dyabłu w szpony.
I gdy mu sercem brudna chciwość miota,
Gdy nie dość skarbów, co znoszą złe duchy
Zdrady i krzywdy; w piekielne łańcuchy
Żonę i dzieci zakuje dla złota.

I nie trza zwalisk, ni ciemnych podziemi,
Ani szatana co straszy w noc czarną;
Zaklęte skarby będą zakłętami,
Choć tam dzień jasny i ludno i gwaro.
A biada, kto ich dotknąć się ośmieli,
Już tam grosz każdy klątwa Boża gniecie
I choćby wyszedł z ręki krzywdzicieli,
Łzy pokrzywdzonych pójdą z nim po świecie.

Serce zastyga wskroś zgrozą przejęte,
Usta niemieją na on widok srogi
Kłesk tych, jakimi znaczą swoje drogi
Nieprawie zbiory, te skarby zaklęte!
Ale nie każdy wziął z Nieba dar cudny
Jasnowidzenia wśród ziemskich zamroczy;
Nie jeden olśnął, patrząc w blask utudny,
Aż Anioł śmierci otworzył mu oczy.

▽▽▽

Oczy uroczone.

I.

Bogaty szlacheć w murowanym dworze, mieszkał nad Wisłą. Wszystkie okna tego dworu wychodziły na wspaniałą rzekę: nie było żadnego ani od strony gościńca, ani też obszernego gumna. Długa alea lip, między którymi przechodziła droga do dworu szlacheć, zarosła trawą i chwastem, wskazywała, że nie wielu sąsiadów to samotne siedlisko odwiedza, że nie znajdziesz tu dawnej gościnności.

Pan tego dworu od lat siedmiu dopiero się z dalekiego powiatu sprowadził; ale wieśniacy mało go znali, i nawet z bojaźnią unikali: okropne bowiem powieści biegały o nim.

Z bogatych rodziców urodzony nad brzegami Sanu, od kołyski nieszczęśliwa mu przyświecała gwiazda: miał oczy uroczone, które chorobę i śmierć ludziom zadawały. Kiedy spojrzał w złą godzinę na bydłę, zaraz zdechło; jeżeli co pochwalił, niszczało zaraz. Ojciec i matka ze zgryzoty pomarli, a pan uroczy — jak go w okolicy nazywano, gdzie nienalicyzone zrządził swojemi oczyma szkody, — przedawszy po rodzicach majątek, przeniósł się nad brzegi Wisły i zamieszkiwał dwór murowany. Wszystkich pooddalał ludzi,

zostawiwszy jeno domownika starego, który go na ręku wypiastował, i któremu jedynie złe oczy pana nie szkodziły wcale.

Pan uroczny rzadko wyjeżdżał z domu, bo za jego oczyma ciągnęły się klęski, śmierć i choroby: dlatego zawsze siedział obok pana stary sługa, co go ostrzegał, gdzie wieś, miasto czy człowieka zobaczył; wtedy pan zakrywał oczy nieszczęśliwe, albo je spuszczał, i zapatrywał się na wiązkę grochowin, zawsze w nogach położoną*).

Znając sw. je oczy, którei pomimo woli nieszczęścia i klęski sprowadzał, kazał wymurować dwór obszerny; ale wszystkie okna obrócił na Wisłę, chcąc tym sposobem, by ludziom nieszkodził, ani na własne gumno nie patrzył: dwa razy już mu bowiem splonęło, kiedy spojrzał w złej godzinie. Mimo to przeklinali go flisy i z trwogą ukazywali na duże okna murowanego dworu, z kąd oczy niejednemu zadaly chorobę: a burza zawsze niemal w przystani na przeciwnym brzegu, wprost białego, jak nazywano, dworu, wiele statków uszkodziła.

Odważył się flis jeden: podpłynął na łodzi do białego dworu i chciał widzieć pana urocznego. Stary sługa przestraszony, wprowadził do komnaty jadalnej zuchwałego żeglarza. Pan jedząc obiad, rozgniewany, że mu nieznajomy przeszkadza, spojrzał na przychodnia ponuro, a flis dostał ta-

*) Oczy uroczone, zapatrując się niemi na suche grochowiny, nie mogły szkodzić nikomu: grochowiny się jeno zsychały więcej. Podobnie oczy bazyliuszka, działały na rutę, skoro bowiem na nią spojrzał, całą utracala świeżość i zieloność.

kiej febry, że słowa przemówić nie mógł, i upadł na progu.

Stary sługa z rozkazu litościwego pana, wyniósł go do łodzi, dużo dał pieniędzy i odwiózł na brzeg przeciwny. Długo śmiałek chorował: kiedy zdołał mówić, okropny obraz, w którym wystawił dwór biały i urocznego pana, przestraszył jeszcze więcej wszystkich flisów, co go z ciekawością otoczyli. Od tego czasu każdy żeglarz płynąc po Wiśle, odwracał oczy od białego dworu, z cicha się modlił, i drżał na samo wspomnienie złych oczu groźnego pana.

II.

Już lat dziesięć minęło, jak dwór biały był przestraczem okolicznych mieszkańców i flisów. Nikt nie odwiedzał pana urocznego, a nieszczęśliwy pędził samotne godziny.

Sroga nastała zima; stadami wilcy, w około dworu groźnem głosem wyli, a pan domu siedział smętny przy kominie, na którym wielki gorzał ogień, przewracając karty jakowejś księgi.

Stary sługa już wszystkie drzwi pozamykał, i w tejże samej komnacie, z drugiej strony komina usiadłszy, ogrzewał stare i przemarzłe ciało, naprawiając sieć na ryby.

— Stanisławie! rzekł pan do niego; czy dużoście ryb w przerębli nałowili,

Nie wiele, panie! ale będzie dosyć dla nas obudwu.

— Prawda! mówił nieszczęśliwy bogacz: już tyle lat, a my zawsze samotni — nieszczęśliwa

godzina, kiedy mnie urodziła matka! Zawsze sam, żyję jak pustelnik; bo ludzie uciekają przede mną! I otarł łzy, co zwilżyły nieszczęśliwe oczy.

Nagle usłyszeli na dziedzińcu głos ludzki wzywający ratunku. Zadrżał pan domu: tak dawno nie słyszał obcego głosu, stary sługa wybiegł z komnaty, a za nim pan uroczny z lampą w ręku.

Przed samą sienią stały sanie kryte: obok nich stał sędziwy człowiek, wołając ratunku. Skoro ujrzał wychodzących ze światłem, wyniósł z sani omdlałą żonę; a stary sługa pomógł wysiadać przestraszonej, młodej i pięknej córce.

Przyłożono drewek na komin, otrzeźwiono zemdloną matkę: pan domu radosny i wesół, dobył zapleśniałych butelek węgrzyna i suto sędziwego ojca pięknej córki raczył.

Stary sługa, uśmiechał się skrycie, patrząc na radość i wesole lica swego pana, które zawsze ponurość i smutek od kolebki osiadał.

Gość przybyły, rozgrzany starym węgrzynem, opowiadał, jak w drodze zaskoczony burzą, zmylił z drogi; a po długim błędzeniu, napotkawszy gromadę zajadłych wilków, zaledwie uciec potrafił, i schronić się na podwórze białego dworu.

III.

Zegar ścienny uderzył pierwszą po północy: stary Stanisław drzemał przy kominie, pilnując ognia, gdy zaskrzypnęły drzwi od sypialni pana i wyszedł uroczny, nierozebrany wcale. Sługa zdziwiony, przetaił oczy i pomruknął, snem rozmurzony:



Dwa oczy, jak dwa kryształy.... (Zob. str. 13).

— Co! panisko biedne, jeszcze nie śpi.

— Cicho! stary mój druhu! odrzekł pan wesoło: spać nie mogę, i bodajbym nigdy nie zasnął, a był tak szczęśliwy, jako dzisiaj.

I usiadł w wielkim krześle przy kominię, uśmiechał się radośnie i począł płakać.

— Płacz! płacz, biedniatko! pomyślał Stanisław — prędzej może wypłaczesz z uroku nieszczęśliwe oczy*).

— Gdyby mi Bóg dał to, co zamyslam — mówił do siebie pan uroczny — niezegobym na tym nie zażądał świece. Już lat trzydzieści żyję samotnie, jak pustelnik albo zbrodzień: a przecież nie skalałem się występkiem, nie pomyślałem o zbrodni! Tylko oczy! oczy moje!

Smutek zasępił oblicze, przed chwilą radosne, lecz wkrótce znów uśmiech osiadł na dawnym miejscu: widać, że promyk nadziei spędzał ponurość.

— Mój stary przyjacielu! (a Stanisław spojrział wesoło): ja może się ożenię.

Daj to Boże! zawołał sługa; ale gdzież szukać przyszej mojej pani?

Pan powstał z krzesła, zbliżył się na palcach do drzwi bocznej komnaty, gdzie podróżni znużeni smaczno zasypiali; a wskazując ręką, wyrzekł z cicha: tam!

Stanisław kiwnął głową, jakby pochwalał wybór dobry i przyrzucił drew na komin. — Pan zadumany odszedł do sypialni, a stary sługa po-

*) Lud utrzymuje, że płacz serdeczny przeczyszcza tego rodzaju oczy.

mrukując: daj to Boże; ale nie dojrzeją te gruszki na wierzbie! — zasnął twardo.

IV.

Rano zbudził się podróżny, ale o dalszej drodze nie mógł pomyśleć dla słabości małżonki.

Pan domu z radością się dowiedział, że dni kilka zabawią; a Stanisław już zaczął wierzyć, że dojrzeją gruszki na wierzbie.

Gość, był to szlachcic niemajątny; lecz choć nie miał do zbytku, żył uczciwie i o nic nikogo nie prosił: upodobał sobie uprzejmego gospodarza i po tygodniu goszczenia, rzekł raz do swojej już wiele zdrowszej małżonki.

— Małgosiu! coś nasz łaskawy gospodarz smali cholewki do naszej Maryi: i ona, jak baczę, nie od tego. Nie źleby to było.

— Widzi ci się tak jeno! — odrzekła żona — ale w duszy rada była, że co roiła sobie po głowie i mąż potwierdził.

— Człek nie ubogi, nie młokos, nie mu nie brakuje — mówił dalej, chodząc po komnacie — nasza też dziewczka nie krzywa i dojrzała w latach, że już można oddać w ten stan święty i pobłogosławić.

Po wieczery, gość sędziwy popijał starego węgryzna, muskał czuprynę i słuchał z uśmiechem, jak pan domu w pokornej mowie upraszał o rękę Maryi.

— Podobaleś mi się waszmość, odrzekł po długim namyśle: i kiedy o wiano nie pytasz, ani go żądasz, a masz dosć własnego chleba. niechże

i przędzie kądziel w waszym dworze, a rodzi dzielnych synów.

We trzy miesiące, pan uroczny miał żonę. Znikła trawa i chwasty z alei lipowej, bo je stratało mnóstwo koni i kolas, co zwiozły krewniaków i przyjaciół panny młodej na wesele do białego dworu. — W kilkanaście dni, gwar ucichł; a droga lipowa znowu zaczęła zarastać trawą i pokrzywą.

V.

Nadchodziła druga zima, a towarzystwo we dworze powiększyło się tylko o jedną panią domu.

Liczna czeladź, którą przyjął, wkrótce pociękała, usłyszawszy że pan ich ma tak nieszczęśliwe oczy: kilku pozostałych doznawszy od nich ciężkiej choroby, porzucili dwór biały; a młoda i dorodna pani, w ciężkich przewracała się bólach, na bogatym łożu, tylko mąż przywiązany z odwróconą głową, ściskał jej ręce zimne i skrzepłe.

Wiedziała, że mąż ma złe oczy; wiedziała, że niemi powiększał jej cierpienia i bóle: a jednak szczerze przywiązana, błagała strapionego o jedno spojrzenie.

— Maryo! zawołał z ciężkiem westchnieniem wiem, że niebędę z tobą szczęśliwy, dopóki mam te oczy: wyłup mi je! Oto nóż ostry, a z twej ręki nie będzie mię boleć.

Wzdrygnęła się żona na tak okropne żądanie; a pan uroczny, widząc ją niezachwianą, upadł na krzesło, i rzewnie począł płakać.

— Na cóż mi ten dar Boży, to szczęście, któ-

rego człowiek oczyma doznaje, kiedy wzrok mój klęskę niesie! Ty chorujesz ciężko, Maryo! wierzę: bo uschnie nawet drzewo piękne, gdy nań w złej godzinie spojrzę. Ale bądź spokojną; nasze dziecko nie zobaczy już tych oczu, nie zaszkodzi mu też w niczem i nie będzie pamięci ojca przeklinać!

Jękiem tylko odpowiedziała chora małżonka.

Pan uroczny wyszedł, zostawiwszy starego sługę: wkrótce dwa przeciwne krzyki odezwały się z dwóch stron przeciwnych białego dworu.

Zakwiliło dziecko, narodzone w sypialni; rozległ się krzyk bolesny, donośny męzki w komnacie, gdzie gorzał na kominie ogień. Płacz dziecięcy zwiastował jego przyjście na świat, że ujrzało promień słońca; a krzyk męzki, że ojciec tego niemowlęcia pożegnał się z tem słońcem na zawsze. Dwa oczy, jak dwa kryształ, z skrwawionym nożem upadły na ziemię.

VI.

W sześć lat, okna wybito, i z przeciwnej strony, skąd widok był na obszerną wieś i gumna, flisy pod samym białym dworem, mieli przystań wygodną. Pani domu zdrowa i wesoła, cieszyła się piękną jak anioł córeczką, która ślepego ojca oprowadzała.

Wieśniacy, co stronili od pana urocznego, teraz na widok ślepego pana i dziecięcia nie uciekali jak dawniej. Zniknęła cichość pogrobową, bo dworzanie i czeladź zapełniali jak niegdyś dwór biały samotny.

Stanisław już zgarbiony laty, zakopał oczy swego pana w ogrodzie. Raz zdjęty ciekawością, czy się jeszcze zachowały, odgrzebał ziemię i spojrział. — Iskrzały się jak świece: ledwie ich blask odbił o twarz jego, zmarszczkami okrytą, zadrżał, upadł i skonał.

Pierwszy raz i ostatni zaszkodziły staremu słudze oczy urocznego pana! Długo ludzie gadali, że dla tego mu dawniej oczy nie szkodziły, bo go pan wielce kochał; serce przeto odejmowało im siłę; teraz same zagrzebane w ziemi nabrały większej mocy i zabiły wiernego sługę!

Pan ślepy serdecznie go żałował: wystawił mu piękny nagrobek z krzyżem, pod którym flisy modlić się zwykli, gdy w przestani odpoczywali pod białym dworem.

Nędza z biedą.

I.

Pan wojewoda miał zamek wspaniały, od złota i marmurów: wysokie wieże wznosiły się na wzgórzu ponad Wisłą, kaplica zamkowa lśniła złotem, bo miedzią była grubo wyłaczaną pokryta. Dwór miał liczny, chorągwie nadwornego wojska jezdnych i pieszych. Jak zajrzałeś okiem, wszystko jego pola, jego miasta, jego wsie nienaliczone, lasy, bory i puszcze, w których mnogie stada zwierzyny, bujając swobodnie, oczekiwały na pana wojewodę strzał i zabójcze. Po pierwszych lodach,

Wisłę okrywały jak stado łabędzi, statki ładowne zbożem pana wojewody; wysyłał on je do Gdańska, na morze, a w zamian przywoził wory złota, które zsypywał do skarbcza swoich anienatów.

Kiedyś wszedł na pokoje zamkowe, drogie adamaszkowe obicia, złotolite materye okrywały ściany; w komnacie jadalnej przy kredensie stołami leżały złociste konwie, nalewki, puhary, srebrne tace, talerze, półmiski, wazy. Jak pan wojewoda zasiadł do stołu, sypało się z różnych zakątów mrowie dworzan, czeladzi, a wszystko zgłodniałe żarło, a wszystko łaknące piło potężnie. Kapela nadworna pod przewodem wybladłego Włocha, brzmiała z chóru, i co dzień wesoło pan z dworem swoim zjadał całego wołu tucznego, spaśnego wieprza, trzy korce żyta chlebem, drugie tyle pszenicy w kołaczkach, kluskach i marcepanach, wypijał beczkę wina, dziewięć beczek piwa, beczkę miodu, barykę wódki. Po obiedzie wstawał pan wojewoda z czerwonymi policzkami, dworzanie z czerwieniami jeszcze; dosiadali wtedy na konie, strzelali z pistoletów do celu, zdejmowali kopijami pierścienie, a pan najzręczniejszego udarował to łańcuchem złocistym, to puharem srebrnym, to dał mu konia z rzędem. I tak dzień po dniu padały pod toporem tuczne woły, wysuszano beczki z winem i miodem z piwnic, a przecież niczego nie zabrakło nigdy, bo za złoto ze sprzedanych statków zbożem ładowanych, nowe coraz stada napędzano wołów jeszcze tuczniejszych, sprowadzano z Węgier większe beczki sławnego wina a z Litwy Kowieńskich miodów.

II.

W dzień skwarny, gorący, letni, pod cieniem gęstej lipy, stały dwie istoty, więcej do wiedmów niż ludzi podobne. Trzymając się za ręce, spoglądały na zamek wspaniały.

Pierwsze wybladłe, żółkłe, żupan dziurawy, kawałkiem niegdyś bogatego pasa przepasane, buty dziurawe, czapkę podartą, była to bieda.

Drugie skóra a kości, oczy zamglone, oblicze skrzywione głodem, obwinięte stało płachtą zbrudzoną, nie miało nawet koszuli na sobie. Była to nędza. Nierozłączni towarzysze z sobą stojąc pod lipą, taką wiedli rozmowę:

Bieda.

Patrz, moja swacho, jak piękny zamek, co tu statków ładownych pszenicą; słyszysz, wesola kapela brzmi głośno. Ach, gdyby się tam dostać na chwilkę!

Nędza.

I czegoż pragniesz, czy tam nas puszcza? Spójrzyj, brama zawarta, a choćby mur przesadzić co nam łatwo, brytany duńskie kazałby wojewoda spuścić z łańcuchów, poszczwanoby nas jak wilków lub niedźwiedzi.

Bieda.

Wiatr wieje ze strony zamku, zapach z kuchni woń roznosi (oblizując się) o! żeby zrazik mięsa, z kawałek kołacza tub marcepana!

Nędza (z westchnieniem).

O mój Boże. jabym przestała na kawałku

suchego chleba, na kości niedogryzionej, a tam psy lepsze kąski codzień pożerają, niż moja codzienna strawa.

Bieda.

Daremna nasza oskoma na przysmaki zamkowe; chodźmy, próżnie nie łykajmy ślinki. Patrz co tu sioł i miast, tam mnie już dobrze znają, muszę im ciebie jeszcze przedstawić, bo takie przeznaczenie, że dla kogo ja długim przyjacielem, to w końcu i z tobą pobratać się musi.

I bieda nacisnęła podartą czapkę na bakier. Nędza zawinęła się w płachtę, ruszyły razem do wioski najbliższej.

III.

Pan Wojewoda miał syna jedynaka, syna, który imie świetne i sławę ojca i pradziadów musi przechować w potomne wieki.

Wysłał go do Włoch, do Paryża po rozum, dawszy mu czwartą część skarbcu swego na drogę. Kiedy odjeżdżał, powtórzył mu wprawdzie stare przysłowie, że: «kto głupi, w Paryżu sobie rozumu nie kupi». — wierzył przecie inaczej i był pewnym, że więcej ukształconym wróci, niżby siedział w kraju.

Bawił rok wojewodzie, zabrakło już mu pieniędzy, pan ojciec posłał starego dworzanina z dwoma worami złota. Jedzie dworzanin, aż pod lipą spotyka bladego w dziurawym żupanie, z kawałkiem pasa bogatego niegdyś, w czapce podartej, zdartymi buty, szlachcica. Chudzina skłonił nisko czapkę, powitał go dworzanin.

— Pomaga Bóg, panie bracie, rzekł do jadącego, a gdzieżto tak spieszo?

— Ha, jadę z pieniędzmi, miły bracie, dla młodego panicza. Pojechałci po rozum aż do Paryża, ale kaci po tem, rozum jakoś trudno idzie, a dużo pieniędzy kosztuje.

— Oj, rzekł chudzina, powoli i rozum się znajdzie.

— Dyabli po nim — odpowie dworzanin — przyjdzie wtedy jak pieniędzy zabraknie, a bieda zajrzy w oczy. I odjechał.

Bieda czapkę w górę z radości rzuciła, wołając: »Będę w zamku, będę i moją swachę wprowadzę, wtedy choć raz pohulamy sobie!«

IV.

Był to dzień uroczysty w zamku, obchodzono powrót z Paryża rozumnego wojewodzica. Stary wojewoda sprosił liczne sąsiedztwo, panów i szlachtę z okolicy. Zamek był przepelniony od samego rana, grzmi kapela. Przy wieczornym zmroku, rozpalano kagańce, oświecono zamek, rzęsisło: w zamku widno jakby słońce świeciło, za murami ciemno, choć oko wykol.

Nędza z biedą ujrzawszy lunę, rozumiejąc, że płonie zamek, wskoczyły na mur, i przytulone do obrosłej mchem baszty, spoglądały na dziedziniec.

W komnatach pełno gości, drobna szlachta wieczerzała na podwórzu, stary wojewoda ucieszony po długim rozdziale widokiem jedynaka,

kazał wciągnąć beczki wina, miodu, piwa i wódki na poddasze i rynnami lać trunki. Przez cztery więc rynny lano to wino, to piwo, to miód, to wódkę; a szlachta podstawiała konwie, to puhary, to gardło, czapki, i pili na zabój. O północy prawie wszyscy zmorzeni legli snem pijackim na podwórzu. Zsunęła się więc z muru nędza z biedą, a pewni, że brytany na uwięzi, oblizali rynny z których sączyło się jeno; a podjadłszy z zostawionej ogromnej wołowej pieczeni, zajrzeli w okna pierwszy raz w zamku.

Już kapela ustała, patrzeli w sypialnię starego wojewody, nie spał jeszcze, stało przed nim kilku żydów zagranicznych, siwy dworzanin rachował złoto, które z cheiwością zgarniali. Byli to wierzy-ciele wojewodzica. Stracił on wszystko, co ojciec posyłał, pożyczył bardzo wiele. Wojewoda zapła-ciwszy, z zasępieniem obliczem usiadł na łożu, dworzanin stał zadumany.

Pierwszy raz starcy obadwa poczuli brak w skarbcu. Nie dziwota: bieda i nędza zajrzały już oknem.

V.

Upłynęło lat trzy, stały pod lipą jak dawniej nierozłączne siostrzyce, statki próżne pływały na Wiśle, flisy smutni nie śpiewali, w zamku cicho, bo żałoba. Stary wojewoda umarł: kapela jego nadworna ostatni raz mu przygrała, prowadząc do grobu; syn wypróżniwszy skarbiec antenatów, stopiwszy srebrne i złote naczynia, sprzedał zboże na pniu, nie było co ładować do Gdańska.

Kaplica zamkowa już nie błyszczała świecącym dachem, wiatr zrywał z niej snopki brudnej słomy, bo młody wojewodzie obdarł ją z okrycia miedzianego z pozłotą, a dach co dwa wieki jaśniał, znikł stopiony u żydów.

Dworzanie rozbiegli się w różne strony kraju; utrzymanie zamku zbyt wiele kosztowało, postanowił więc przenieść pan młody mieszkanie swoje za granicę, sprzedawszy poprzednio wszystkie marmury tego gmachu swemu arendarzowi.

Zapłakał stary dworzanin, kiedy bezbożne ręce, wyrywały podłogi, łamały mury, dobywając drogie marmury.

Opustoszał wspaniły zamek, brama stała otwarta, dziedziniec zarósł murawą, a stare bałty omszone wznosiły jeszcze dumne czoła.

Nędza z biedą bez obawy więc weszły razem, a chodząc po pustym podwórzu, natrafiły na drzwi do piwnicy otwarte. Weszły po spruchniałych schodach i w samym końcu długiego lochu znajdują radośnie zapomnianą baryłkę drogiej małmazji, pamiątkę jedyną po starym wojewodzie. Kosztują, wesole, — smaczne; piją więc rado, a piją: stare wino pomściło pamięć starego wojewody, upojone usnęły w tym lochu — nędza z biedą.

Duch starego wojewody, co w długich nocach błądził po ruinach swego zamku, zatrzasnął drzwi żelazne od lochu i te dwie siostry, choć do głodu nazwyczajone, skonały.

Niepotrzebne też były w zamku nędza z biedą; bo zasiadło ich miejsce nie tak ohydne, poważniejsze zniszczenie.



Upojone usnęły w tym lochu nędza z biedą. (Zob. str. 20).

Wędrownik patrząc na gruzy starego zamku na te resztki baszt ogromnych, дума o jego przeszłości, żałuje upadku i może nieraz klęsce wojennej przypisze zniszczenie! A w lochu trupy nędzy i biedy leżą, trzymając się za ręce. Pilnuje drzwi duch wojewody i dla wstydu swej pamięci, nie dopuszcza nikogo; ukrył tam sromotę syna, który splamił jego imię i sławę.

Żaba.

Księżę możny miał trzech synów: dwóch z nich mądrych, trzeci głupi. Kiedy już podrośli w lata a pragnął, by się żenili, dał im łuki i powiedział:

— Jużście, parobki moje, podrośli w latach i sile; czas już myśleć, by wam żony smutne dwory zweseliły, bym ja stary i nad grobem wnuki swoje zakołysał! Macie łuki, puście strzały; a kędy która upadnie, tam znajdziecie sobie żony.

Najstarszy naciągnął łuku i puścił strzałę z poświstem; ta upadła aż za lasem w ganku dworu cisowego: na tym ganku krasawica z złotym włosom przędła nici. Była to córka rycerza, co miał zamek, wiele dworów. I oddała mu swą rękę; stary książę zadowolony, że się syn już ustanowił.

I młodszy naciągnął łuku, puścił strzałę białobiórą; ta upadła za strumieniem, aż pod lipą roz-

łożystą. Pod tą lipą czarnobrewa miód zgarniała na nieculkę. Była córą ziemianina: miał dwa dwory i niemale; jeden z drzewa modrzewiowy, drugi z cegły murowany. I oddała mu swą rękę; stary książę się radował, że się drugi syn ożenił.

A najmłodszy z łukiem w ręku, chodził smutno zadumany. Kiedy nań nadeszła kolej, puścił strzałę nad jeziorem: ta upadła aż na drugim brzegu wody, pośród błota i wyżarów.

Porwał czółno, płynie spieszo, szuka strzały i znajduje — a tuż przy niej brzydka żaba wielkimi patrzy oczyma. (Zob. obr. kol.)

Z początku jej się nastraszył; lecz pomnąc, co ojciec kazał, wziął tę żabę jak niewiastę i za żonę pojął sobie. Nie była to żaba, ale w żabiej skórze zaklęta królewna. I przywiódł do swego dworu, posadził na łożu; a dworzanom nakazał, by jej hołd składali. Siwy książę zasępiiony, że syn jego pojął żabę.

Nadchodziły imieniny starej księżnej matki książąt. Więc synowe do pieczywa chleba żwawo się zabrały i upiekły chleb wyborowy, rosły, biały, kieby mleko!

Patrząc na to, płakał rzewnie, że niema żony niewiasty, coby także potrafiła chleb tak piękny matce upiec. Widząc te łyzy czuła żaba, przemówiła ku niemu słowy:

— Nie frasuj się, mężu luby, i ja chleb upiec potrafię.

I wnet siedem dziewic wyszło i upiekły więcej chleba, niżli dały dwie synowe. Młody książę zadowolony nieść chleb każe swej czeladzi i state-

cznej książnej matce, jak podarek od swej żony, u nóg kładzie i oddaje.

Wszyscy się dziwili, że chleb taki piękny; a nie piekła go żadna pani, jeno piekła żaba!

* * *

Dwie synowe zadrościwe wnet zaczęły robić pasy, jako dary księżnie starej. Wyszyły je srebrem, złotem: wszystkich podziw obudzili. Patrząc na to młody książe, płakał rzewnie i zawodzi, że niema żony niewiasty, coby taki pas utkała. — Widząc te łzy czuła żaba, przemówiła ku niemu słowy:

Nie frasuj się, mężu luby, ja ci pas piękny wyszyję; zanieziesz go matce w darze.

I wnet siedm dziewięć wyszło, i wyszyły pas bogaty, przetykany srebrem, złotem, dyamenty i perłami!

Młody książe zadowolony, niesie strojny pas bogaty i oddaje matce starej, jak podarek od swej żony.

Wszyscy się dziwili, że pas taki cudny, nie tkala go żadna pani, jeno szyła żaba.

* * *

Aż nadszedł dzień imienin uroczysty księżnej starej: dwie synowe przystrojone, już siedziały obok niej. A gdy się użalał smutno młody książe przed swą żoną, że obecną być nie może na tej uczcie w zamku matki:

— Idź sam naprzód! rzekła żaba, a jak padać deszczyk zacznie, powiedz, że się twoja żona

rosą deszczu myć zaczyna; a gdy błysnie, że się stroi; a gdy zagrzmie, że już jedzie.

Pelen radości, idzie do zamku i życzenia matce składa. Już zastawiono podłużne stoły i uczta zacząć się miała, aż deszczyk padać zaczyna. Spojrzał na okno i wyrzekł głośno:

— Moja się żona już myje.

Spojrzeli wszyscy i rzekli w duchu:

— Ot głupi! brednie nam plecie.

Zabłysło niebo: on znowu mówi:

— Moja się żona ubiera. I prędko zagrzmie, on rzekł z radością: •O moja żona już jedzie.

Wszyscy ciekawie patrzą w podwoje rychło się żaba ukaże, aż zamiast żaby prześliczna pani, strojna urodą i szaty, wchodzi i księżnej starej z pokorą do nóg upada. Książe z małżonką uradowani, przechwalają wybór syna: ten w radości, uniesieniu, biegnie co prędzej do swego dworu, lecz nikt powodu nie zbadał.

Przy stołach siedzą, jedzą i piją; dwie synowe z gniewem patrzą na urodę swej bratowej, goście wszyscy podziwiają krasotę młodej księżniczki.

Nagle biedna się zerwała, z krzykiem rozpaczycy ucieka; a wtem wpada młody książe i z radością wykrzykuje:

— Jużem spalił tę skorupę brzydkiej żaby, co mi kryła wdzięki mojej ładnej żony.

— Bądź zdrów! rzekła, płonąć ogniem — już mnie więcej nie zobaczysz: miałam wkrótce wyzwolona wrócić, by żyć między ludźmi; a teraz nowu zaklęta, na długie wieki zostałam.

Ledwo wyrzekła te słowa, zniknęła jak mgła z przed oczu: próżno szukał młody książę swojej gładkiej krasawicy, próżno płakał i zawodził; już jej nigdy niezobaczył!

Powietrze.

Siedział Rusin pod modrzewiem, słońce piekło jakby ogień. Patrzy zdala, że coś idzie; patrzy znowu — to niewiasta!

Cała płachtą owiniona, na wysokich nogach chodzi. Zląkł się zrazu, chciał uciekać; ale widmo długą ręką zatrzymało zléknionego.

— Znasz powietrze? — Ja to jestem! Weźże mnie na barki swoje i obnoś po całej Rusi: nie-pominaj wioski, miasta, bo wszędy zawitać muszę. Ty nielekaj się niczego, zdrowy będziesz wśród umarłych.

I długie ręce przewiesza na szyję biednego kmiecia. Szedł więc Rusin; lecz żdziwiony, że ciężaru nie czuje, spojrz za się: ale widzi, że na barkach siedzi widmo.

Przyniósł najpierw do miasteczka. Po gospodach tańczono, wesołość na każdej twarzy. Ledwie zatrzymał się w rynku, niewiasta powiała płachtą; wnet ustały rzeźwe tany i wesołość znikła z twarzy. Kędy spojrz, wystraszony; niosą trumny, w dzwony dzwonią, cały cmentarz napelniony, niema już gdzie grzebać ludzi!

Na rynku stosami trupy leżą, nagie nie-grzebione!



Spiesz do rzeki chcąc utopić widmo. (Zob. str. 28).

Poszedł dalej. Gdzie wieś przejdzie, tam zostaną puste domy: z białym licem, drząc z bojaźni, uciekają zewsząd ludzie; a po drogach, lasach, polach konający w bólach krzyczą.

Na wysokim wzgórzu stała wioska jego, kędy mieszkał wieśniak, co nosił powietrze; tam miał żonę, drobne dzieci i stare rodzice swoje.

Zakrwawiło mu się serce; więc okrążyła wioskę swoją; silnie pochwycił niewiastę, by mu z baraków nie uciekła.

Spojrzy: widzi Prut niebieski, za nim wszędy coraz wyższe stoją góry zielonawe, dalej czarne, aż najwyższe białe śniegiem. Spieszy prosto więc do rzeki: skacze, cały się zanurza chcąc utopić i niewiastę, by ochronił od pomoru i od klęski ruską ziemię!

Sam utonął: lecz powietrze, co niesone nie ciążyło, i utonąć też nie mogło, przestraszone tą odwagą, uciekło w lasy na góry!

Tak ocalił swoją wioskę, rodzice, żonę i dzieci i resztę tej ruskiej ziemi, gdzie nie poniósł złej niewiasty.

Zajęcze serce.

Na wyspie, w pośrodku Wisły, stał wielki zamek przed laty, cały murem otoczony; w każdym rogu grube chorągwie i gęste stráže ustawiane. Most skórzany na łańcuchach, łączył wyspę z brzegiem ziemi.

W tym zamku mieszkał pan możny, rycerz bitny, zawołany. Ile razy trąba brzmiała nad wchodową bramą zamku, zwiastowała powrót pana, zwycięstwo i łup bogaty.

Po długich i ciemnych lochach wiele brańców osadzono. Codziennie musieli robić: to naprawiać mury grube, to uprawiać piękny ogród. Między tym była baba, stara baba czarownica, której męża trzymał w więzach: ta się zemścić zaprzysięgła.

Czatowała przeto chwili, by samego spotkać pana. Strudzony walką, niewczasem, na zielonej upadł trawie; sen zakleił mu powieki. Skrycie czai czarownica, mak na oczy panu kładzie, by się ze snu nie obudził i gałązką osikową w pierś uderza, a w tę stronę, kędy serce ludzkie bije.

I pierś się zaraz roztwarza i czerwone widać serce, jak drga ciągle i ustawnie. Uśmiecha się czarownica i wyciąga rękę chudą, długimi palcami z lekka obejmuje całe serce i tak nieznacznie wyciąga, że się rycerz nie obudził.

Wtedy mając w pogotowiu świeże od zajęcia serce, w pierś rycerza zaraz wkłada i zamyka otwór piersi. Sama odeszła na stronę, z radością w gęstych krzakach przyległa, chcąc zobaczyć skutki czarów.

Jeszcze się rycerz nie zbudził, a poczuł serce zajęcze! Co nieznał trwogi, drżał bojaźliwie, i rzucił ciałem! Otwiera oczy: zbroja mu cięży; zaledwie powstał, aż usłyszy psów szczekanie!

Dawniej lubił kiedy gończe grały w kniei za zwierzyną, teraz w trwodze wystraszony, uciek

jak szary zając! Zaledwo wbiegł do komnaty, chrzęst zbroi własnej, oręża, co się zaszczerbili zwycięstwami, i brzęk srebrnej ostrogi na nowo go trwoży: zrzuca więc pancerz i szablę, pada na łóżko zmęczony.

Dawniej we śnie marzył jeno to o bójce, to o łupach: teraz we śnie jęczy smutnie i na każde psa szczekanie albo hasło swojej straży, co przy ognisku na baszcie, czujnie strzegła przed napadem, drży jak dziecko i w poduszkę chowa oczy wystraszone.

Wkrótce poganie otoczyli zamek: rycerze i czeladź czeka na pana, co im przewodził do bitwy i do zwycięstwa. Ale czekają na próżno! On mężny rycerz, usłyszawszy szczęk oręża, gwar żołnierzy, rżenie koni, uciekł na zamku poddasze, i stąd dopiero dojrzał mnogie pogańskie zastępy.

Wtedy przypomniał sobie dawne wyprawy, zwycięstwa i sławę imienia swego. Jak bóbr zapłakał rzewnymi łzami, westchnął i mówi żałośnie:

— Boże mój, Boże! daj mi odwagę, przywróć mi siłę i męstwo! Sztandary moje na polu bitwy już powiewają od dawna; a pan ich, dawniej zawsze na czele, dziś jak dziewczę bojaźliwy, z dymnika swojego zamku, patrzy na zastępy swoje! Wróć mi serce, by nie drżało — wróć mi siłę, abym zbroję mógł udźwignąć! Odżyw ciało czerstwością i daj zwycięstwo.

Wspomnienia te budzą go jak ze snu: wraca spiesźnie do komnaty, chwytając zbroję, dosiada rumaka i wyjeżdża przez bramę. Strażnik z radością powitał pana, i brzmieniem trąby zapo-



Gałązką osikową w pierś uderza. (Zob. str. 29).

wiedział jego wyjazd. Spieszy; lecz ciągle bojaźń myśl mu i serce osiadła. A gdy rycerstwo odważnie rzuca się na zastęp pogan, pan zamku w trwodze, zawraca swego bieguna i ucieka w gród warowny.

Choć wbiegł do zamku zdyszały i za grubymi murami nie pozbył trwogi tajemnej; skacze z konia, ucieka do żelaznego lochu i tam omdlały czeka niesławnej śmierci.

Rycerstwo jego przecież pobiło pogan, a strażnik z wysokiej baszty powitał zwycięskie chorągwie wracające do zamku. Wszyscy zdziwieni haniebną ucieczką pana zamku, szukali go długo napróżno i znaleźli w lochu na poły umarłego.

Niedługo żył nieszczęśliwy rycerz: całą zimę grzał ciało drżące zawsze przy kominie. Wiosna nastała; roztworzył okno, chcąc odetchnąć słońcem maja. Jaskółka, co na poddaszu ulepiła gniazdko swoje, w przelocie czarniawem skrzydłem uderzyła go po skroni.

Cios był dla niego śmiertelny, upadł jak gromem rażony i po krótkiej męce skonał.

Wszyscy pana żalowali i szczerze plakali, niewiedząc powodu, co potrafiło go tak nagle zmienić. Aż w rok potem, gdy pławiono czarownicę, że deszcz długo zatrzymały: ona czarownica zeznała sama, jak odmierzyła serce rycerza na serce zajęcze! — Wtedy poznali dopiero ludzie, dla czego z tak mężnego rycerza tak bojaźliwy się zrobił; szczerzej żalowali i więcej plakali, a na jego mogile spalili żywcem starą czarownicę.

Porwany wichrem.

Rozgniewawszy się czarownik na młodego parobczaka, wszedł do chaty, kędy mieszkał, i nóż nowy wyostrzony utkwil po pod progiem izby: zaklął przy tem, by lat siedm, uniesiony pędem wichru, latał po szerokim świecie.

Parobek poszedł na łąkę, by ułożyć siano w kopy, gdy się wichur nagle zrywa: porozrzucił kopy siana i porywa parobczaka. Daremnie chciał się opierać; próżno chwytła silną ręką, to płotu, to drzew gałęzi: jakaś siła niewidoma pędzi go pomimo woli.

Na skrzydłach wiatru niesiony, nie tykając stopą ziemi, leci jakby gołąb dziki. Już i słońce na zachodzie, a parobczak wygłodniały patrzy na dymiące wioseki chaty; prawie nogą ich się tyka: lecz daremnie krzyczy, woła, próżno płacze i narzeka; nikt nie słyszy jego jęku, ani łez gorzkich nie widzi.

Tak pędzony trzy miesiące wygłodniały i spragniony, wysechł jak sosnowa szczapa; obleciał światu niemało, lecz najczęściej wiatr go nosił po nad wioską, kędy mieszkał.

Spojrrzy z łzami na swą chatę, gdzie miał dziewczę ulubioną. Patrzy — aż ona wychodzi, niosąc obiad we dwojakach. I wyciągnął ku niej rękę, wychudzone i zsiniałe. Próżno woła po imieniu, głos mu w słabej piersi ginie: nie spojrziała nawet w górę.

Leci dalej: aż przed chatą stoi złośliwy cza-

rownik; spojrział w górę, krzyknął głośno: Będziesz latał siedm roków, krążąc zawsze nad tą wioską, będziesz cierpiał, a nie umrzesz».

— O mój ojeze! mój sokole! jeżelim cię kiedy rozgniewał, przebacz! Spojrzyj na mnie; patrz, już usta mi zdrewniały, spojrzyj na twarz i na ręce, same kości — nie masz ciała: ulituj się mojej męki.

Czarownik poszeptał z cicha, a parobczak już nie leci, stoi w miejscu, lecz się stopą niedotyka wcale ziemi.

— Dobrze to, że mnie przepraszasz; ale co mi dać przyrzekasz, że cię zwolnię z takiej kary?

— Wszystko co tylko zażadasz! I złożył ku niemu ręce i uklęknął na powietrzu.

— Oddasz mi swoją dziewczynę, bo ja z nią się żenić muszę: jeśli przeto ją odstąpisz, będziesz chodził po tej ziemi.

Parobczak zaniemiał chwilę. »Aby jeno na ziemię, pomyślał; to doma sobie rady«.

I rzekł głośno: »Za prawdę, wielkiej żądacie ode mnie ofiary; lecz kiedy inaczej być nie może, niechże i tak będzie.

Wtedy nań dmuchnął czarownik i stanął na ziemi: jakże był szczęśliwy, gdy uczuł, że po niej stapa, że wiatr nad nim już żadnej mocy nie ma

Biegł co żywo do chaty i w progu spotyka. sobie zaręczoną dziewę. Krzyknęła z podziwu, widząc parobczaka zginionego, co miał być jej mężem, co go już długo opłakiwała. Lecz ten odepchnął ją silnie wyschłemi rękoma; wszedł



Na skrzydłach wiatru niesiony. (Zob. str. 33).

do świetlicy, a ujrzawszy gospodarza, u którego służył, na pół z płaczem zawołał:

— Już u was służyć nie będę, ani waszej nie pojme córki, kocham ją jeszcze szczerze, by własne oczy, ale moją nie będzie.

Sędziwy gospodarz spojrział nań zdziwiony; a dostrzegłszy cierpienia w wychudłej i bladej twarzy, tak niegdyś rumianej, zapytał o powód, dlaczego odrzuca rękę jego córki?

Parobczak wyznał mu wszystko i swoją podróż powietrzną i przyrzeczenie dane czarownikowi. Wysłuchawszy cierpliwie gospodarz opowiadania całego, kazał biednemu być dobrej myśli, a sam poszedł do wróżki na poradę, wziąwszy trzos pełny.

Nad wieczorem wrócił wesół i rzekł do chłopaka:

— Jutro pójdzieta do wróżki, jeno rano jak zaświta, a wszystko pójdzie dobrze.

Parobczak strudzony zasnął twardo, zbudził się przecież przed świtaniem i poszedł do wróżki. Zastał ją przy kominie, jak paliła zioła: kazała mu stać spokojnie; dzień był pogodny, gdy nagle wiatr zawył — zatrzęsł się dom cały.

Wróżka wtedy wyszła z nim na podwórze i kazała spojrzeć w górę. Podnosi oczy i widzi z dziwem, jak zły czarownik w jednej koszuli w powietrzu kręci się w kółko.

— Otóż! twój nieprzyjaciel, już ci szkodzić nie będzie: gdy zechcesz by patrzył na twoje wesele, zrób, jak cię nauczyłam, a będzie tych

cierpień doznawał, które dla ciebie niewinnego przygotował.

Uradowany parobczak pobiegł do domu: w miesiąc już się ożenił. Gdy druzbowie tańczyli, wyszedł z izby na podwórzec: spojrzysz w górę, aż nad chatą kręci się w powietrzu on zły czarownik. Wówczas dobył nowego noża, wymierzył weń, rzucił silnie i trafił w nogę.

Zleciał z powietrza czarownik, przybity nożem do ziemi. Stał przez noc całą pod oknem, musiał patrzeć na radość parobczaka i weselnej drużyny.

Nazajutrz znikł z przed chaty; lecz ludzie widzieli jak przelatał nad jeziorem o dwie stamtąd mile: a przed nim i za nim stado wron i kawek krakaniem swoim zwiastowały nieskończony polot złego czarownika.

Dyabli taniec.

Kiedy wieher kręci wkółko i suchym zamiata piaskiem, jest to taniec złego ducha. Zamykaj wszystkie wyględy*) w chacie, bo złe**) ci naruszy kości. A jeśliś odważniejszy i chcesz skarbu z zgubą duszy, weź nóż nowy, poświęcony

*) Wyględy, wyraz starodawny, zamiast okna.

**) Złe, ten wyraz ma u ludu wielorakie znaczenie; raz go używają, nie chcąc użyć słowa djabel; drugi raz znaczy chorobę, przez czary lub złego duchaadaną. W przekleństwie: „niech go złe spostka“, wszystkie rodzaje nieszczęścia oznacza.



Gniewny utkwiał nóż błyszczący. (Zob. st. 39).

i w pośrodek tego wiru rzuć nim celnie i z zamachem.

Zuchwały młody parobczak, gdy mu szczyt stodoły bies w postaci wichru zerwał, gniewny utkwiał nóż błyszczący, poświęcony, w pośrodku tego wiru. I zaraz ujrzał, jak w kornej postaci bies stanął przed nim krzywy i drżący i pytał co mu rozkaże. »Napraw stodołę!« zawołał wieśniak, palając cały od gniewu: »dół od kartofli napelnij złotem, przynieś do izby baryłę wódki, trzy duże polcie słoniny.

— Spelnię to wszystko, wyjm nóż utkwiony, który mnie srodze dolega.

— Nie! krzyknął wieśniak; zrób to co najpierwiej co żądam.

Bies dopełnił rozkaz cały; lecz wkrótce kiedy z choroby umierał młody parobczak, wieśniacy, obecni w chacie, widzieli jak stał przy głowie, czatując na jego duszę.

Wszyscy żalowali, a stary chrestny *) rzekł z cicha:

— »Gdyby zamiast tych pieniędzy, wystrzelił lepiej do biesa srebrnym guzikiem z prawego oka, byłby żył długo pocziwie i niestracił świętej duszy.

*) Ojciec chrestny.

Jonek.

»Chcesz mieć fujarkę, by na jej głos podskoczyły nieochocze nogi, a z grobu powstały trupy

i okazały czerstwe stare postacie, pospiesz do boru.»

»W ciemnym borze szukaj wierzby, wierzby zielonej, co by nigdy nie słyszała szumu wody, ni piania koguta. Bo na pianie kura uciekają i duchy i więdźmy; a wierzba, co słyszała szum wody, nie poruszy na korowód nieochocze nogi.»

»Chcesz, by cię każda dziewa kochała, złap nietoperza, nakryj glinianym garnkiem i o północy połóż go w mrowisko: o drugiej północy nazajutrz zbierz kościotrup, a w nim znajdziesz widły i grabie. Lubą dziewczkę przyciągnij grabiami, a kochankę mieć będziesz: chcesz mieć przyjaciela wybranego parobka, przyciągaj grabiami. A jeżeli niełuba sercu ściągać cię będzie natrętą miłością, odepchnij widłami, a wstręt dla ciebie. Gdy który będzie narzucać się twej przyjaźni, a jej nie wart i nie godzien, odepchnij go widłami, a odstręczysz na zawsze.»

»Tak przez fujarkę otoczysz się wesołością i przeszłością: tak przez kości nietoperza otoczysz się miłością i przyjaźnią.

»A jeżeli zapragniesz odgadnąć ciemną przyszłość, nieodgadnioną, zapragniesz skarbow, posłuchaj ostatniej rady.

W wigilią świętego Jana rozkwita paproć o samej północy; ale niełatwo kwiatu dostaniesz: strach zatrzyma bieg krwi w tobie, złodowacieje serce, a w szpiku mrowiska poczujesz. Nie naliczysz gromów, które ziemią wstrząsną. Każdy włos na głowie stanie ci prosto jak topol; a srogi powizd nie nachylił go nawet. Jeżeli dotrzymasz

pola, z odwagą otrzymany kwiat w zdobyczy rozjaśni ci przeszłość i wzbogaci złotem.

»Tak więc przez kwiat paproci zostaniesz bogaczem i w przyszłość jak w zwierciadło poglądać będziesz.»

A młody wieśniak słysząc ten głos w ciemnym lesie, porzucił furę z wołami, pełną narąbanego drzewa: a ucieszony słodką nadzieją, pełen otuchy i szczęścia, biegł i darł się przez gęstwinę, szukając wierzby na cudowną fujarkę. I błądził długo i szukał długo, aż wśród suchej łąki znalazł zieloną wierzbę. Uciął piękną gałąź, skreślił z niej korę i miał gotową fujarkę.

Zadał na niej, a radość napełniła mu serce. W tej uboczy nie było nikogo; sam więc, uniesiony szalem wesołości, hasał po bujnej łące, aż zmordowany upadł na murawę. Doznał już skutku fujarki: ale dreszcz go zimny przejął, gdy wspomniał, że jej głos może obudzić duchy i zmarłych. Pot zimny, kroplisty wystąpił na lica. Lecz ciekawością zdjęty, chciałby co prędzej pospieszyć pod cmentarz. Schował więc fujarkę za pazuchę i począł przedzierać się do wąskiej drużyny.

Nie długo wybiegł na krasny wzgórek; okalały go dawne i stare mogiły: tu zbiegały się rozstajne drogi, a krzyż nowy świeży grobowiec oznaczał.

— »Ha!« rzekł do siebie: »spróbujwa; nim dojdzie do cmentarza kawał ci drogi: niech choć jednego zobaczyma, czy na głos fujarki podniesie swoje deski.»



I dobył piszczałki. (Zob. str. 43).

I dobył piszczałki; zaledwie zadał, krzyż się obalił, a z ziemi ukazał się dziad żebrak, zabity na rozstajnej drodze przed trzydziestu laty.

Młody wieśniak odwrócił oczy z przestachem, nie chcąc patrzeć na twarz schudzoną wiekiem i nędzą, a zeszpeconą ranami. Lecz w przestachu grał ciągle: wtedy zobaczył, że okoliste mogiły rozwierają się razem; usłyszał chrzęst żelaza, tętnienie podkowy.

Patrzy — żelazem zbrojni pokazują się rycerze: jedni pieszo, a wielu na koniach. Jeżeli dziada się nastraszył, więcej jeszcze, patrząc na liczny szereg uzbrojonych olbrzymów. On sam, lubo był rosły i we wsi swojej najwyższy, każdemu z nich niemal po kolana zaledwo głową dostał. Z większego strachu otworzył gębę, podrapał się po głowie; a nie zadymając piszczałki, nie poruszył już więcej mogił. Każde widmo nakryła ziemia i tylko wiatr zimny powiewając, przyginał trawę i zioła.

Umęczony wesołością i przestachem z widzenia zmarłych, przygotował grabie i widły nietoperza, chcąc użyć miłości i przyjaźni.

Już oddawna młoda Zosia z poblizkiej chaty z czarnemi oczyma poruszyła mu serce; ale czarnobrewa nie dbała na zaloty młodego Jonka, jak go nazywano. Napróżno śpiewał do niej:

•U mojej Zosieczki
Oczki jak tarczki,
Gęba jak śmietana,
Dana moja! dana!•

Zosia się śmiała i z piosnki i z Jonka.

Pleła len w ogrodzie, kiedy się na nią zaczął i grabkami nietoperza przyciągnął ku sobie. Zosia milej na niego patrzyła, a Jonek uradowany całował owe grabki. Był pewny, że go kocha: chciał więc przyjaciela: upodobał sobie młodego Ziębę i z tym się wkrótce zaprzyjaźnił. Znała go dobrze i Zosia, a kiedy obaj przychodzili do niej razem, zawsze witała uśmiechem. Już Jonek myślał o weselu i zadumany usiadł za kopią siana, kiedy za drugą szmer usłyszał. Ciekawo zakrada się, patrzy i widzi, jak Zosia siedzi razem z Ziębą, układając z sobą o dniu swoich zaręczyn. Rozgniewany złamał grabie i nie chciał ani przyjaźni ani miłości.

— »Na co mi piszczałka i grabie kościane!« Zawołał ze łzami: tamta mnie zmęczyła, bom musiał nieochoczo skakać, i nastraszyła widmami; a temi przyciągałem Zośkę na próżno, by z wiatrem wszystko do czarta poszło. Lepiej postarać się o pieniądze i zobaczyć, co też się ze mną stanie.«

Nazajutrz była wigilia do świętego Jana. Jonek nie nocował w chacie: napróżno go wyglądała matka! Burza okropna poblizki las wyłomała; pioruny kilka domostw i stodół spaliły. Już blisko południa, wrócił do chaty Jonek, spocyny i drżący: był blady i oczy miał obłąkane. Napróżno mu stara matka postawiła miskę klupek ze słoniną, jeść nie chciał. Matka się modliła, a Jonek oddychał ciężko; lecz czasami się uśmiechał, bo pobrzękiwał złotem w kieszeni.

II.

Na weselu Zosi z Ziębą, on był pierwszym drużbą; sypał garścią grosiwo dla grajków i najlepiej się wystroił. Odtąd zawsze rej wodził w gospodzie; częstował wieś całą i co święto i nie dziela grajkom jak pan płacił. Przygrywał i sam na wierzbowej fujarce, a wszystko co żyło tańcowało wesoło od wieczora do rana.

Ale Jonek nie przestał na tem, że był bogaty: chciał wiedzieć, co się z nim stanie; dobył więc kwiatu paproci i rzekł:

»Powiedz! pokaż! kwiatku mój!
Czemże będzie Janek twój?«

I usłyszał głos podziemny:

»Będiesz wisiał, a nogi twoje nieochocze wiatr będzie poruszał.«

— »Pfu! do czarta!« zawołał z gniewem Jonek: »wisieć nie będę, bo nie mam za co.« Począł się śmiać, ale nie mógł w nocy zasnąć, choć się i podpoił.

Przecież za długo hulał, nim przyszło mu na myśl o przyszłości się dowiedzieć. Wypróżnił kieszenie; już drugi raz, choćby chciał dostać kwiatu paproci nie uda się sztuka — a pieniędzy nie ma. To go niepokoi: nadchodzi wielkanoc, młódz wiejska wcześniej prosi Jonka, żeby zamówił grajków, a u Jonka ni szeląga.

Kiedy spać nie może, przypomina sobie, że za pomocą kwiatu paproci, znowu się dowie o skarbie ukrytym, jak dawniej, gdy raz pierwszy z pod gruzów zamku dostał złota. Potarł paproć

spojrzał — i widzi w ogrodzie szlacheica, że pod jabłonią zakopana na sążęń w ziemi stoi okuta w mosiądz szkatuła.

Zrywa się, biegnie i zaczyna kopać. Już ciężką szkatułę dobył na wierzch, już chce ją przez płot przerzucić; kiedy się szlachcie zbudził, usłyszał złodzieja, wybiega z dworu — zatrzymuje Jonka. Ale ten i chciwy złota i w obawie, żeby go nie wydał, uderza łopatą w głowę i zabija na miejscu.

Na krzyk konającego pana, zbiegają się dworscy, łapią zbrodniarza i oddają do sądu.

W pół roku Jonek wisiał na rynku w pobliżu mieście. Tyle to zarobił z łakomstwa skarbu i widzenia przyszłości.

Wiatr zawiał silnie; już nie rozlegały się tony czarodziejskiej fujarki, a nogi przecież Jonka obumarłe i zimne poruszał wiatr silnie, jakby do tańca.

Morskie oko.

(Jezioro w Tatrach.)

W tych miejscach gdzie takie góry a skały, były dawniej żyzne łąny, lasy i łąki. Na samej od Polski granicy, mieszkał pan polski możny, a zwał się Morski. — A tuż od Węgierskich kopców panował młody i urodny książę i byli z sobą sąsiedzi o miedzę tylko, pan Morski miał cudnej urody córkę, książę ją ujrzał i zaraz się w niej srodze rozmiłował. — Prosił ojca o jej



Rozplyń się we łzach twoich. (Zob. str. 49).

rękę, ale ten poprzysiągł, że wyda ją, ale tylko za swojaka, nie cudzego rodu.

Stary Morski był to wojak, poszedł z królem na wyprawę daleko — a córkę zamknął w klasztorze i powiedział, że ją przeklnie jeśli pójdzie za Węgrzyna, bo ją woli oddać dyabłu, jak obcego rodu.

Za długo bawił na wyprawie: młoda dziewczka nudziła się srodze, a tymczasem urodny książę dalej do niej w zalecanki. Posyłał jej to cudne korale, to wstążki, to klejnoty. Nasyłał stare wróżki, co jej z węgierska wróżyły, że będzie wielką panią, że będzie miała srebrne pałace i złociste komnaty. Oczarowały roztęsknioną dziewczynę i ta przyrzekła uciec z klasztoru. Wieczorem młody książę podszedł pod mury, przebrany za mnicha, żegnał się i o jałmużnę prosił. Zakonnice wpuściły go za kratę. Oczarownice rzuciły zioła i zamówiły, a wszystkie psy posnęły. Książę uciekał z dziewczyną: kazał jej wystawić pałac cały koralowy — od złota i kamieni drogich lśniący.

Teraz księżna rada, cały dzień po łakach kwiecistych tańcowała, albo dzieci swe pieściła, a wieczorem wróżki ją kołysały i śpiewały, żeby miłe a piękne sny miewała. Wszystko tam szło jak wianki wił, ani gradu, ani powodzi, ani zarazy na bydło. Siedmioro dziątek mieli, wszystkie ślicznie się chowały. Stary Morski jak nie wracał, tak nie wracał: ludzie gadali że od Tatarów zabity, już nie żyje. Córka wdziwała czarną żałobę, zabrała dobytek po ojcu i śmiała się z prze-

kleństwa. Aż tu powraca niedługo potem pan Morski, pyta o córkę — pokazują mu koralowy pałac. Córka dowiedziawszy się o ojcu, przybrana w klejnoty, poszła go pozdrowić. Stary przeżegnał się, plunął, tupnął nogą, aż się pałac koralowy w proch rozsypał i tak zawołał!

»Bóg daj, by twój cudzoziemiec i całe jego mienie w kamień się obróciło«, a gdy księżna wywiodła dziatki swoje i z płaczem padła mu do nóg, jeszcze więcej rozgniewany wykrzyknął: »Rozpłyn się w łzach twoich, a przeklęte dzieci twoje niech się w nich potopiają, bo aniś ty córka, ani oni Morskiego wnuki.«

I przekleństwo ojca spełniło się zaraz; pola, łąki, lasy, pałace, trzody i wszystko w jeden się zamieniło kamień. Przestraszony książę, przebrał się za mnicha i uciekać począł. Ale i on zamienił się w skałę, co dotąd Mniczem się zowie. Księżna płakała, przywołała wróżki, ale te nic nie pomogły przeciw ojcowskiemu przekleństwu. Każda tylko porwała dziecię i uciekała. A tu kamienie rosnać z pod ziemi poczęły tak nagle, że dalej biedz nie mogły. Każda zmęczona usiadła i widziała śmierć przed sobą. Dzieci płakały, nawoływały matki, matka przybiegła, płakała a płakała, że z łez stawy się robiły i siedem takich stawów się zrobiło, a w każdym stawie jedno dziecię leży. Księżna oczy wypłakała. Jedno dziecko z wyższej stoczyło się skały i od panieńskiego jej nazwiska Morskiem okiem nazwano. Klejnoty wszystkie utopiła księżna w tym stawie.

Kiedy już nic nie było, tylko stawy a puste

skały, sama księżna się w jednym stawie roztopiła, a że czarno była ubrana, woda się od tego zabarwiła i dotąd jest czarna.

Mówią ludzie, że tam nieraz jeszcze słyhać płacz i narzekanie, bo jej dusza jęczy, o ratunek prosi. Ale jak kto usłyszy to i zlituje się, to go śnieg ze skał zasypie.

Kania i Cicha.

W dzień świąteczny pod rozłożystą lipą, igrało grono dzieciaków ze wsi pobliskiej. To rwały kwiatki, to skakały, to na drewnianych konikach harcowały; śmielsze pacholęta, darły się na lipę, dojrzawszy wróble gniazda. Nie było płaczu, radość jaśniała na czerstwych obliczach, gwar wesóły i śmiech niewinny rozlegał się wokół: dzwonek z pobliskiego kościoła dał się słyszeć, bo tam Mszę świętą odprawiał pobożny kapłan; pobożni wieśniacy, rodzice tej miłej dziatwy i starsze rodzeństwo na kolanach zanosili gorące modły do Boga.

Z jodłowego lasu, miedzą pomiędzy zbożami, wyszła mała dziewczyna w białej szacie. Twarz miała śniadą jakby jej ojciec Tatar; oczy wylupiające, chłodne, urocze: na czarnych włosach wianek z maku polnego, odbijał jak żar na czarnych węglach, warkocz obwiała krwawą chustą. Czarna przemykała w ręku. Szła z wolna, ale gdzie stąpiła, kwiatki usychały, trawa paliła się jak tam, kędy jadowita żmija prześliznie. I zaszła

najprzód na cmentarz wiejski, stare mogiły odgrzebuje, dobywa kości i chowa: stare trumny rozbija i z nich także strupieszale dobywa kości. Kędy się zbliży, zaraz obwiewa wokół zimno grobowe, chłód lochu stęchłego i wilgotnego. Do człowieka nie rzekła słowa, ale sama do siebie mruczy niezrozumiałą mową. Z tamtej strony lasu, kmiotok idąc do kościoła, potrafił tę dziewczynę i zaraz mu się w głowie przewróciło, nie doszedł jeszcze do kościelnego muru, powiesił się na suchej wierzbie.

Szła dalej z cmentarza przez wieś, ale siółko było puste, bo starsi bili czołem Bogu, a dziatwa igrała na trawniku pod lipą. Zaledwie dojrzała to grono niewiniątek, przysporzyła kroku, martwe ślepie wytrzeszczyła więcej i rumianną dziewczynkę co najbliżej stała, dotknęła czarnym prętem. Dziecina wstrząsnęła się, zadrżała i pada nieżywa; rumieniec znikł od razu, bo lice szczyrniało jak węgiel. Zimno grobowe owiało grono dzieciaków, ustał gwar wesóły i śmiechy, krzyk trwogi rozległ się wokół. Dziewczyna Cicha bije prętem a dziatki jak pisklęta zduszone, czernieją. Starsze poczęły uciekać, strach dodał im siły, rozpierzchły się na różne strony, daremnie chciała je dogonić dziewczyna Cicha.

W Zielonej Dąbrowie rozproszone dziatki zbierają się razem, wabiąc się głosem przytłumionym, jak rozproszone stado kuropatw. Tam z bijącym sercem, oddychały zmęczone. Chłopię najstarsze stanęło na nogi i z za dębu dojrzało, że dziewczyna, co ich tyle zabiła, powróciła na cmentarz.



Dotknęła czarnym prętem. (Zob. str. 51.)

Słońce było na zachodzie, ojcowie i matki biegają po polach i ogrodach, szukając dzieci. Młoda matka pierwsza trafia na trawnik pod lipą i z krzykiem rozpaczyny upada na zczerniałe zwłoki pierwszej dziewczynki, była to jej pierworodna córka. Na ten głos straszliwy biegną niewiasty, biegną ojcowie, schodzą się starcy. Matki rozdzierającym krzykiem chcą przywrócić do żywota zmarłe dzieci, ojcowie w milczeniu płaczą, a starcy ze łzawym okiem mówią: »Był tu mór dzieci, dziewczyna Cicha«. Pierwsza matka, co zwołała swoim krzykiem inne, nie powstała już więcej; drugie niewiasty wprowadzają z rozpaczą do chaty mężowie, starcy zabrali trupy dzieci, aby je pochować w świętej ziemi.

W Zielonej Dąbrowie wiatr ciepły powiał, właśnie słońce już tylko ostatnim promieniem świeciło, a pozostała drużyna strwożonych dzieci nie śmiała ruszyć się z miejsca. Mglisty obłok nadpływa na ich głowy, z pośrodku wychodzi dziewczyna ślicznej urody z miłym uśmiechem. Niektóre dziatki wyciągając do niej rączki zawołały: »Matko! matko!« I biegły do niej jak do matki. Dziewica tuliła je do łona, udzielała łakoci, inne patrząc na to, z radością biegną za pierwszemi, a dziewczyna sadzi je rzędem w obłok i gdy wybrała wszystkie, mglisty obłok uniósł się w górę, płynie lekko, dziatki gwarzą wesoło; bo je dziewczyna jak matka utula i pieści.

Zadzwonily dzwony we wsi, niosą zmarłą matkę naprzód; niewiasty płaczą na swój stan sierocy, bo żadne we wsi nie zostało dziecko. Mę-

żowie ze spuszczoną głową na piersi postępują zwolna, starcy niosą zczerniałe zwłoki morem zabitych dzieci. Jęk dzwonu pogrzebowego rozległ się wokoło, wtedy dziewczyna Cicha niosła pełen fartuch strupieszalnych kości; usłyszała ten głos powolny dzwonu, zrozumiała go dobrze, bo jej twarz śniada, martwa, uśmiechem się rozjaśniła, a oczy mgliste rozogniły.

Wtedy razem nadpłynęła mglista chmura, w której dziewczę Kania unosiła pozostałe grono dzieci, wydzierając je na zawsze z łona matek. Starzec jeden poznał, co się święci w tej chmurze, krzyknął zatrwożony: »Dzieci! Kania leci! i przycisnął zczerniałe zwłoki wnuka do siebie. Próżna trwoga, już żadnej nie było dzieciny we wsi, jedne mór zabił, orupie chmura ciemna uniosła na zawsze, a matki sieroty zalewały się łzami, daremnie czekając powrotu zbłąkanych dzieciątek.

Homen*).

Rusin jeden straciwszy żonę i dzieci przez dżumę, uciekł w lasy z opustoszałej chały i tam szukał ocalenia. Błądził dzień cały, nad wieczorem zrobił z gałęzi budę, rozpalil ognisko i strudzony usnął. Już było po północy, gdy go mocny odgłos zbudza. Staje na nogi, słucha: słyszy jakieś pieśni zdala, a przy pieśni głos bębenków i piszczałek. Słucha zdziwion nie pomału, że gdy wkoło śmierć grasuje, tu się cieszą tak radośnie.

*) Tak nazywa lud podolski korowód widm i straszedeł, który ciągnie w czasie moru i zabija ludzi.



Był to wóz czarny. (Zob. str. 56.)

Odgłos słyszany zbliżał się coraz i wystraszony Podolak ujrzał szeroką drogą ciągnący się homen. Był to orszak mar dziwacznych, co otaczał wóz wokoło; wóz był czarny i wyniosły, a na niem siedziała dzuma. Za każdym krokiem zwiększała się coraz straszliwa drużyna; bo po drodze wszystko niemal przerzucało się w widma.

Słabo tlało jeno ognisko; głównia spora dygotała jeszcze nieco: zaledwo zbliżył się homen, głównia stanęła na nogach, wyciągnęła dwa ramiona, a zarzewie zajaśniało dwoma błyszczącymi oczyma i łącznie śpiewać z innymi zaczęła.

Oslupiał wieśniak: w niemym przestrachu porywa siekierę i najbliższą chce uderzyć marę; ale siekiera z rąk mu ulata, przerzuca się w wyniosłą niewiastę i kruczym warkoczem, śpiewając, powiała mu przed oczyma. Homen szedł dalej; a Podolak widział, jak drzewa, krzaki, sowy i puchacze, wysokie przybierając postacie, zwiększały ten orszak, straszny zwiastun straszliwej śmierci. Upadł bez siły; a gdy rano ciepło słońca go zbudziło, sprzęty, jakie uniósł, były połamane i potłuczone, odzienie podarte, pokarm zepsuty. Poznał, że nie kto inny jak homen tyle mu psot wyrządził i dziękując Bogu, że choć z życiem ocalał, poszedł dalej szukać przytułku i jada.

Gorejące Palce.

Za borem za lasem murowany dwór, a w tym dworze mieszkał szlachcie, pan dużych włości,

i tego boru i tego lasu. Sute sprawiał imieniny, więc sąsiedzi i krewniacy, każdy jechał to na koniu, to z niewiastami kolasą.

Z ciemnego boru wyszedł jakiś człowiek, miał strzelbę na ramieniu, nóż za pasem. Patrzał jak wilk, jak lis się czał ku piaszczystej drodze i za gęstym krzakiem usiadł w ukryciu. Kiedy sąsiedzi do murowanego dworu jechali, rachował każdego i policzył ich dwunastu.

Z zielonego lasu wyszedł drugi człowiek, miał strzelbę na ramieniu, dwa noże za pasem. Patrzał jak wilk, jak lis się czał ku gościńcowi, stanął za gęstym krzakiem jałowcu, rachował każdego krewniaka, co jechali do murowanego dworu i policzył ich czterech.

I obaj ci ludzie, co patrzeli jak wiley, zeszli się razem, pogadali z cicha, potem poszli pod miasto, kędy na wzgórzu za murami, wisiał wczorajszy wisielec; odegnali stado wron i kruków, ucięli mu rękę z pięciu palcami po zgięcie i spiesznie uszli do lasu.

Huczno obchodził swoje imieniny pan murowanego dworu, goście i krewniacy weselili się rado. O północy, podochoceni rozeszli się na spoczynek: sąsiadom posłano we dworze, krewniacy poszli do odległej oficyny, jeden z nich miał żonę, pobożną i cnotliwą niewiastę i ta z mężem poszła razem.

W dużej izbie nasłano woniejącego siana, pokryto bogatemi kobiercami, a niewiasta na przypiecku legła. Czterej krewniacy rozmarzeni, prędko usnęli, włożywszy pasy ładowne złotem pod głowy,

ale ona zasnąć nie mogła, mówiła pacierze, gdy puchacz zahuknął na dachu. Dreszcz ją zimny przejął tem więcej, słysząc w pobliskiej alce ciche stapanie i szepty.

Po chwili roztwarły się drzwi, jasność wielka uderzyła ją w oczy i wszedł pierwszy on człowiek ze spojrzeniem wilka, trzymając rękę trupią ze czterema zapalonemi palcami. Gorzał każdy palec jak pochodnia. Płomień niebieskawy, to jasno-siwy, ćmił błyskiem oczy. Za nim szedł drugi ze spojrzeniem wilka z dwoma nożami za pasem, i wniósł na misce cztery szklanki. Gdy stanęli na progu komnaty, pierwszy wniósł w górę gorejące palce truga, drugi dmuchnął w każdą szlankę i postawił dnem do góry.

Śpiący razem westchnęli ciężko, rzucili ciałem, jeden sięgnął ręką po karabelę leżącą przy kobiercu, ale żaden zbudzić się nie mógł; przyświecili im rozbójnicy takim światłem, które sen nierozbudzony kładzie na oczy każdego. Uskoczył od każdego anioł stróż w tej chwili, załamał ręce i patrzył boleśnie na śpiących, którym godzina ostatnia już biła, a żaden modlitwą duszy swej zbawić nie mógł. A niewiasta jakby przykuta klęczała, stanęły jej oczy kołem, krew w żyłach z przestachu zamarła. Ona usnąć nie mogła, bo zbójcy nie zapalili piątego palca, nie chuchnęli w piątą szlankę! Przeznaczili ją na świadka narodu i dla ocalenia siebie.

Teraz drugi zbójca dobył noża z zapasa szedł śmiało do śpiących. Niewiasta obląkanym

wzrokiem ściagała każde stąpienie mordercy. Pierwszy leżał jej mąż: chciała krzyknąć, ale głos zgrozy, boleści, rozpaczy szarpał jej serce, rozparł piersi i w gardle utonął. Zbójca utopił w piersiach głęboko nóż, trysnął strumień krwi szeroko, zalał oczy mordercy, ale je prędko otarł, wyciągniętym trzosem ze skóry łosiej. Trzech innych podobnie zabił, a gdy zabrał trzosi pełne złota, z nożem skrwawionym zbliżył się do patrzącej niewiasty.

Drugi zbójca zaświecił jej przy twarzy, oblicze jej było blade jak chusta, usta czarne, oczy kołem stały. Ręce na piersiach złożone jakby do modlitwy. Wtedy nóż jej skrwawiony w rękę włożył, a krwią ciepłą oblicze i szaty pomazał. Dał znak, ręka trupia upadła na ziemię, zagasła, a ciemność zaległa całą komnatę.

* * *

Nazajutrz dzień długo spali biesiadnicy, ale gdy w kościele oddzwoniono na mszę świętą, gospodarz wezwał gości swoich na śniadanie, by po nim wszyscy poszli do kościoła. Zeszli się sądziedzi, ale krewniaków nie widać; gospodarz wysłał pacholka, ten zastaje drzwi pozamykane. Wysłany hajduk drzwi wybił, okiennice roztworzył, lecz ujrawszy cztery trupy i krwią oblane kobierce, z krzykiem przestachu ucieka. Na ten głos trwogi zbiegają wszyscy, okrzyk zgrozy i zemsty podnosi każdy. Na przypiecku klęczała niewiasta, zboczona we krwi, trzymając w ręku nóż morderczy. Była blada jak chusta, oczy

stały kołem, usta czarne jak węgiel przygryzała w milczeniu; był to znak jedyny, że żyje.

Porywają ją, ściągają, niektórzy krzyczą: »to zbójczyni«, drudzy: »chyba ją bies opętał«. Jeden gospodarz zawołał: »To być nie może, zacna to i pocziwa białogłowa, ale szatańska jest w tem sprawa«.

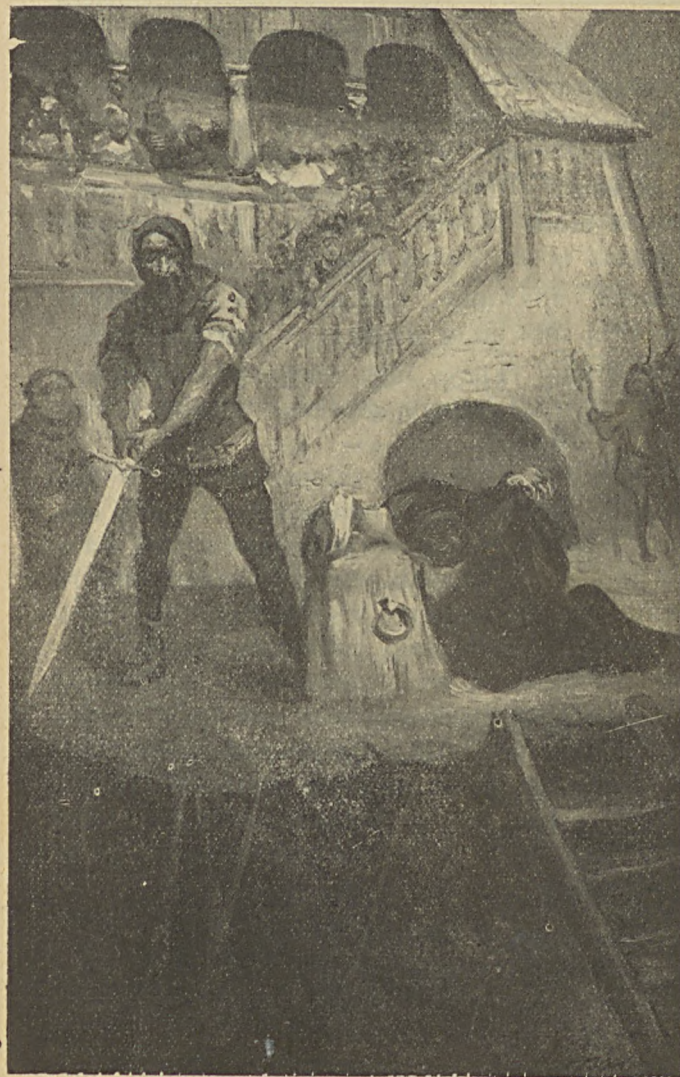
Ale obrona jego była daremną, ujęta z nożem nie wyrzekłszy słowa na swoją obronę, skazaną została na ścięcie.

Na podwórzu tegoż dworu w tydzień potem, wzniesiono rusztowanie, wokoło czystym usypiano piaskiem. Sprowadzony kat z miasta, zrzucił płaszcz pąsowy, zawinął od takiejże kurty rękawy, dobył szerokiego miecza i czekał na swoją ofiarę.

Nieszczęśliwa niewiasta w świętej spowiedzi pierwszy raz przemówiła, kapłan ze drżeniem słuchał jej opowiadania: wierzył prawdzie, ale ją zbawić nie mógł. Długo potem rozmawiał z gospodarzem domu, który ruszył ze znacznym orszakiem czeladzi dworskiej i sąsiadów; od wczoraj oczekiwano go na próżno. Kat się zniercierpliwił, schował miecz do pochwy, narzucił płaszcz na ramiona, ale nie schodził z rusztowania, bo godzina dozwolona jeszcze przez sąd, co czekał na powrót dziedzica, wkrótce uderzy.

Od boru i lasu tuman kurzawy powstaje, pierwszy gospodarz sadi na koniu co wyskoczy, za nim drużyna sąsiadów, czeladź otacza jakiś wóz z dobytymi szablami.

Godzina naznaczona bije, prowadzą skazaną



Kat zamierzył się i spuścił miecz. (Zob. str. 62.)

niewiastę na rusztowanie. Kat zrzucił płaszcz, dobył miecza. Uklękła wtedy niewiasta, wzniosła do nieba oczy, rumieniec wybił na blade lica, a złożywszy ręce, wyrzekła mocnym a spokojnym głosem: »Umieram niewinna, prędzej połączę się z moim mężem i panem«. Kat zamierzył się, spuścił miecz, głowa spadała.

»Bądź zbawiona, nieszczęśliwa białogłowo! pokój twej niewinnej duszy! — zawołał kapłan.

Od bramy okrzyk bije, krzyczy pan dworu, krzyczą sąsiedzi jednym głosem: »Stójcie! stójcie! ona niewinna!

I wpadają jeźdźcy, załamali dłonie w rozpacz, że spóźnili się, nadjeżdża czeladź, otaczająca wozy, a w nich skrępowanych leży dwunastu zbójców. Wyznali wszystko, jakich czarów używali, na tem samem więc rusztowaniu straceni zostali. Kiedy ciało niewinne zabitej włożono w trumnę, a po nabożeństwie na świętej ziemi cmentarza grzebano, nim dół cały zasmucona drużyna przjaciół i sąsiadów zasypała, wyleciał biały jak śnieg gołębek, bujał chwilę nad mogiłami i nad wieżą kościoła, a potem znikł w obłokach. Była to dusza niewinnej a pobożnej niewiasty.

Madej.

Jechał kupiec przez las gęsty, ciemny: błędził długo i w pomroce nocnej ugrzązł w bagnie

bez ratunku. Zasmucony, począł rozpaczać, gdy nagle, w postaci ludzkiej, zły duch mu się pokazał.

— »Nie smućcie się człowieku!« wyrzekł do kupca: »ja was wyciągnę z błota i do domu wskażę drogę, ale pod warunkiem, że to, co masz w domu, a o czem ty nie wiesz, moją zostanie własnością.«

Kupiec pomyślał trochę i przystał rado na podany warunek, nie wiedząc, że żona powiła mu w czasie podróży dalekiej, urodnego syna. Dyabeł wyciągnął go z błota, wyprowadził na szeroki gościniec, a zmusiwszy kupca do wydania cyrografu, raz jeszcze umowę przypomniał i zniknął.

O ile z radością powitał żonę tak dawno nie widzianą, o tyle zasmucił się, widząc ładnego syna, którego już złemu duchowi zapisał. Skrycie płakał nieraz pocziwy kupiec, tając lży gorzkie przed żoną. Tymczasem dziecię w pachole wyrosło.

Było ciche, spokojne i chętne do nauk: w piątym roku już dobrze czytało i pisało, co tem więcej strapione serce ojca jątrzyło, że z dziecięciem tak lubem wkrótce się rozstać musi, oddając na ofiarę dyabłu.

Małe pachole doszedłszy lat siedmiu, uważało smutek ojca i lży rzewne, ile razy zapatrywał się w jego urodne oblicze. Tyle przeto prosił, tyle nalegał, że kupiec wyjawiał mu wszystko.

— Nie troszcz się, mój rodzicu: Bóg mi pomoże, ja pójdę do piekła i cyrograf odbiorę.

Plakała matka, płakał i ojciec, błogosławiąc

na tak daleką drogę chłopczyne, który zrobiwszy potrzebny pyzybór, niebawnie wyruszył z domu.

I szedł długo i daleko, aż zawędrował w puszcze ciemną i straszną, a tu w jaskini ukrytej zamieszkał rozbójnik Madej.

Morderca własnego ojca, matkę jeno zachował przy życiu, co mu gotowała strawę. Nikomu nie podarował życia, kogokolwiek dostał, bez litości zabijał. Matka, podeszła niewiasta, zabłąkanych w jaskini przechowywała, ale Madej miał węż tak doskonały, iż zaraz poczuwał ludzkie ciało.

Chroniąc się przed burzą, przypadkiem znalazło tam nasze pochole. Stara, litując się lat młodych, ukryła go w ciasnym zakątku jaskini, lecz Madej zaledwie wpadł do niej, poczuł świeżego człowieka. Już biedne dziecko nachyliło głowę pod zabójczą pałkę, kiedy rozbójnik dowiedziawszy się gdzie idzie, podarował mu życie, z warunkiem, ażeby zobaczył w piekle, jakie dlań zgotowano po śmierci męczarnie.

Pacholę, równo ze świtem opuszczając jaskinię, prędko dostało się do piekielnej bramy: święconą wodą i obrazkami, które przyklepiało, otworzyło ją snadnie. Zaskoczył mu Lucyper, z zapytaniem: czego żąda?

— Cyrografu, na moją duszę przez ojca mego wydane!

Hetman piekielny, chcąc go pozbyć czem prędzej, wydać cyrograf rozkazał; ale trzymał go kulawy Twardowski, co parzony kropidłem święconej wody, nie chciał wrócić cyrografu.



Pędziła na wielkim kogucie, i już niemal dogania.

Rozgniewany Lucyper: »Weźcie go na madejowe łoże!« zawołał; a Twardowski przestraszony okropną męką, oddał pismo w tejże chwili.

Ciekawy chłopczyna, poszedł zobaczyć tak straszliwe łoże. Było z żelaznej kraty, wysłane ostremi nożami, iglicami i brzytwami; pod spodem palił się ogień nieustanny, a z góry kapłała kroplami rozpalona siarka.

I wyszedł z piekła i szedł dzień jeden, dzień drugi, aż trzeciego zaszedł do tejże jaskini, gdzie już oczekiwał zasmucony Madej. Doniósł więc o tem, co widział rozbójnikowi. Zmartwiał z przestachu zbrodniarz; a chcąc tak srogiej męczarni uniknąć, postanowił pokutować.

Wyszli więc razem z jaskini; Madej ukląkł w lesie, zatknął w ziemi przy sobie morderczą palkę, wiedząc zaś, że młode pacholę na księdza się poświęcił, przyrzekł, iż dopóty czekać będzie na tem samem miejscu, dopóki nie zostanie biskupem.

Minęło lat kilkadziesiąt, nim on chłopczyna z księdza, otrzymał dostojność biskupa.

Raz przejeżdżając puszcę ciemną i gęstą, niezajrzaną okiem, doszedł go jablek zapach przyjemny. Rozkazuje więc swej służbie tego owocu wyszukać; dworzanie wkrótce wracają i donoszą, że w pobliżu jest piękna jabłoń, ale żadnego nie da sobie urwać jabłka, przy niej zaś klęczy starzec siwobrody.

Biskup idzie na wskazane miejsce i z podziwem poznaje Madeja, okrytego siwizną, z długą do ziemi zarosłą brodą, który go o wysłu-



Biskup idzie na wskazane miejsce. (Zob. str. 65).

chanie spowiedzi i rozgrzeszenie zaklinał. Przychylił się kapłan do jego prośby, a dworzanie z osłupieniem patrzeli, jak w czasie tego aktu jabłko po jabłku, zamienione w białe gołąbki, znikало w powietrzu. Jedno tylko pozostało jabłko, była to dusza ojca Madeja, którego sam zamordował; a ten grzech ciężki utulił; lecz gdy wyznał i ten grzech ostatni, ostatnie jabłko przedzierżnięte w siwego gołębia za innemi uleciało.

Modlił się gorąco biskup nad grzesznikiem; a gdy dał mu rozgrzeszenie, ciało Madeja w drobny proch się rozsypało.

Ucieczka.*)

Piękna królewna zaklęta, siedziała w zamku na górze, pod władzą czarownicy. Strzegła ją, jak oko w głowie; a młody królewicz, który był z nią zaręczony, napróżno chodził wokoło góry i patrzył w zamkowe okna, kędy jego narzeczona w tęsknocie pędzi godziny. Płakał nieraz gorzkiemi łzami; aż jedna wróżka ulitowawszy się nad nim, obiecała wyzwolić królewnę zaklętą. W postaci gołębia, siadła na kratkach okna komnaty królewnej i rzekła:

— »Oto masz grzebień, szczotkę, jabłko i prześcieradło. Uciekaj z zamku. Jeśli cię będzie gonić czarownica, rzuć najprzód grzebień, obejrzyj się i uciekaj. Gdy potem gonić cię bę-

*, Zobacz obraz kolorowy.

dzie, rzuć szczotkę, a potem jabłko. Jeżeli i wtedy nie przestanie pogoni, rzuć prześcieradło, a dostaniesz się do zamku ojca swego rodzzonego.

Piękna królewna czule podziękowała gołębikowi i gdy czarownica we czwartek po nowiu księżycy, wsiadła na łopatę, a zawoławszy: „Więć nie wieś – Biesie! nieś!”, poleciała na Łysą górę, uciekła równo ze świtem. Biegnie co siły zdyszana; aż się obejrzy za siebie — widzi z przestachem, że czarownica, która ją strzegła tak pilnie, pędzi na wielkim kogucie i już niemal dogania!

Wtedy rzuca grzebień po za siebie; spojrzy — a grzebień rozwija się węzem długo na milę, szeroko na milę i wnet z grzebienia rozplynęła się rzeka. Słońce wschodzące oświecało niebieską wodę; pluskały po niej stadami dzikie gęsi i kaczki, a jaskółki czarne skrzydła w żywym polocie maczały. Czarownica zatrzymana bystrem pędem wielkiej rzeki, patrzy, pieniać się ze złości, jako na przeciwnym brzegu piękna królewna hyżemi skoki, uchodzi sobie swobodnie. Dosiada przeto koguta, rzuca się w wodę, przepływa rzekę i dogania zbiega.

Królewna z przestrachu zbladła, rzuca po za siebie szczotkę; obejrzy się, aż każda szczytina w drzewo wyrasta. I powstaje bór ogromny, ciemny, gęsty, nieprzejrany. Zawyły w nim stadem wilki; a czarownica zatrzymana w biegu, dzień cały przedzierać się musi, pośród gęstwiny i wąwozów.

Lecz i królewna zmęczona, nie mogła tak żwawo uciekać, jak z początku. Czarownica wydestawszy się przeto z lasu, prędko ją dopędzić mogła. Biedna królewna zaledwo powłócząc nogami, rzuca jabłko: obejrzy się — aż to jabłko w górę wysoką i stromą wyrosło. Zapieniała z gniewu, złości czarownica; drze się w górę i po całodziennym trudzie, z samego wierzchołka dostrzega, jak omglalym krokiem, zbiedzona strachem i trudem, uchodzi młoda królewna.

Dosiada żwawo koguta; leci z góry i już za kraj szaty nieszczęśliwą ma pochwycić; gdy ta rzuca prześcieradło, obejrzy się, a płachta szeroka w szersze morze się rozplywa. Wiatr ruszał wielkie bałwany. Płynąc na wielkim kogucie już zmęczona czarownica, wydawała się z daleka, jako jedna bryła śniegu, opryskana białą pianą szumiących bałwanów morza.

Uszczęśliwiona królewna, doszła zamku ojca swego. Już tam na nią oczekiwał i królewicz narzeczony. Król więc stary zaraz przeto ucztę sprawił i wesele. Cały zamek jaśniał ogniem, a czarownica zemglona, siedząc na zdechłym kogucie, podrzucana bałwanami, patrzyła na jasny zamek, słysząc wesółych grajków — okrzyki družbów radosne. Miotła długo przeklęstwa, aż skończyła w wielkich bólach.

Morze wielkie zaraz znikło, zostawując czarownicy trupa na polach zamkowych. Ale wrony, czarne kruki, uciekały od jej ściernia. Napróżno chciano pogrzebać, ziemia na wierzch wyrzucała nieczystego trupa. Aż jednej nocy wśród

burzy, sam wiatr zaniósł brzydkie zwłoki na podwórzec zamku tego, gdzie królowna lat niemało pod jej strażą zostawała

Twardowski.

Twardowski był dobry szlachcic, bo po mieczu i kądzieli. Chciał mieć więcej rozumu, niż mają drudzy poczciwi ludzie i znaleźć na śmierć lekarstwo, bo nie chciało mu się umrzeć.

W starej księdze raz wyczytał, jak dyabła przywołać można: o północnej przeto dobie, cicho wychodzi z Krakowa, kędy leczył w całym mieście i przybywszy na Podgórze, zaczął biesa głośno wzywać. Stał prędko zawezwany: jak w one czasy bywało, zawarli z sobą umowę. Na kolanach zaraz dyabeł napisał długi cyrograf, który własną krwią Twardowski, wyciśniętą z serdecznego palca, podpisał.

Miedzy wielu warunkami, był ten główny: że dopóty ni do ciała ni do duszy czart żadnego prawa nie ma, dopóki Twardowskiego w Rzymie nie ułapi.

Na mocy tej umowy, dyabłu jako swemu słudze, rozkazał naprzód, by z całej Polski srebro naniósł w jedno miejsce i piaskiem dobrze przysypał. Wskazał mu Olkusz. Posłuszny służka dopełnił rozkaz i z tego srebra powstała sławna kopalnia srebra w Olkuszu.

Drugą rzecz kazał: do Pieskowej skały, by przyniósł skałę wysoka przewrócił na dół naj

cieńszym końcem, ażeby tak wiecznie stała. Posłuszny giermek, jako pan kazał, postawił skałę, co dotąd stoi i zwie się skałą sokolą.

Wszystko, co jeno zażądał żywnie, miał na swoje zawołanie: jeździł na malowanym koniu, latał w powietrzu bez skrzydeł, w daleką drogę siadał na kogucie i prędzej biegał niż konno: pływał po Wiśle ze swoją kochanką wstecz wody bez wiosła i żagli; a jak szkło wziął do ręki, zapalał wioski na sto mil odległe.

Upodobawszy jedną pannę, chciał się ożenić; ale panna chowała we flaszcze robaka i pod tym warunkiem obiecywała oddać temu rękę, kto zgadnie, co to za robak!

Twardowski, w ciemność nie bity, przebrał się w dziada łachmany i przyszedł do ładnej panny. Pyta go zaraz, ukazując zdala flaszkę:

»Co to za zwierzę, robak czy wąż?

»Kto to odgadnie, będzie mój mąż.«

A Twardowski odrzekł na to: »To jest pszczołka, mościwa panno!«

Zgadł w istocie i wnet się ożenił.

Pani Twardowska na rynku Krakowa ulepiła z gliny domek; w nim sprzedawała garnki i misy. Twardowski za bogatego przebrany pana, przejeżdżając z licznym dworem, tłuc je zawsze czeladzi kazał. A kiedy żona ze złości wyklinała w pień co żyje, on siedząc w pięknej kolasie, śmiał się szczerze i wesoło.

Złota miał zawsze by piasku; bo co chciał, to dyabeł znosił. Kiedy długo dokazuje, raz był zaszedł w bór ciemny, bez narzędzi czarno-



Już chciał porwać Twardowskiego. (Zob. str. 73).

księskich. Zaczął dumać zamyślony; nagle napada go dyabeł i żąda, aby niezwłocznie udał się prosto do Rzymu

Rozgniewany czarnoksiężnik, mocą swojego zaklęcia, zmusił biesa do ucieczki: zgrzytając kłami ze złości, wyrwa sosnę z korzeniem i tak silnie Twardowskiego uderza po obu nogach, że jedną zgruchotał całe. Od onej doby był kulawy i zwany odtąd powszechnie kuternogą.

W ostatku sprzykrzywszy sobie zły duch, czekając dość długo na duszę czarnoksiężnika, przybiera postać dworzana i jak biegłego lekarza zaprasza niby do swojego pana, że potrzebuje pomocy. Twardowski za posłańcem spieszy do pobliskiej wioski, nie wiedząc, że w niej się gospoda nazywała Rzymem.

Skoro tylko próg przestąpił onego mieszkania, mnóstwo kruków, sów, puhaczy, osiadło dach cały i wrzaskliwemi głosy napełniło powietrze. Twardowski od razu poznał, co go może tutaj spotkać: więc z kołyski dziecię małe, dopiero ochrzczone, porywa drżący na ręce, zaczyna piastować, gdy w własnej postaci wpada dyabeł do izby.

Chociaż był pięknie ubrany — miał kapelusz trójgraniasty, frak niemiecki, z długą na brzuch kamizelką, spodnie krótkie i obcisłe, a trzewiki ze sprzączkami i wstążkami, — wszyscy go zaraz poznali; bo wyglądały rogi z pod kapelusza, pazury z trzewika i harcap z tyłu.

Już chciał porwać Twardowskiego, gdy spostrzegł wielką przeszkodę, bo małe dziecię na

ręku, do którego nie miał prawa. Ale bies wnet znalazł sposób; przystąpił do czarownika i rzecze:

Jesteś dobry szlachcie: zatem »verbum nobile, debet esse stabile.«

Twardowski widząc, że nie może złamać szlacheckiego słowa, złożył w kołyskę dziecko, a wraz ze swym towarzyszem wylecieli wprost kominem

Zawrzało radośnie stado sów, wron, kruków i puhaczy. Lecą wyżej, coraz wyżej. Twardowski nie stracił ducha; spojrz na dół — widzi ziemię; a tak wysoko poleciał, że wsie widzi takie małe jakby komary, miasta duże jakby muchy, a sam Kraków by dwa pajaki razem.

Żal mu szczerzy serce ścisnął: tam zostawiał wszystko drogie, co polubił i ukochał; a więc podleciawszy wyżej, gdzie ni sęp ni orzeł karpata, skrzydłem wiatru nieporuszył; gdzie za ledwo okiem sięgnął, z zmordowanej piersi silnie dobył gdzie ostatku głosu i zanuci pieśń nabożną

Była to jedna z kantyczek, które dawniej w swej młodości, kiedy nie znał żadnych czarów, duszę jeszcze miał niewinną, ułożył na cześć Maryi i śpiewał zawsze codziennie.

Głos jego niknie w powietrzu, choć śpiewa z serca serdecznie; ale pasterze górale, co pod nim na górach paśli, zdziwieni podnieśli głowy, chcąc wiedzieć, skąd pieśń nabożna słowa im z chmurą przynosi. Głos jego bowiem nie poszedł w górę, ale przyległ do tej ziemi, by zbudował ludzkie dusze.

Skończył pieśń całą: zdziwiony wielce pa trzy, że w górę nie leci wyżej, że zawisł w miejscu. Spojrz do koła — już towarzysza swojej podróży nie widzi; głos jeno mocny nad sobą słyszy, co zagrzmiał w sinawej chmurze.

»Zostaniesz do dnia sądnego, zawieszony tak jak teraz!«

Jak zawisł w miejscu, dotychczas buja; a choć mu słowa w ustach zamarły, choć głosu jego nikt nie dosłyszy, starcy, co dawne pamiętają czasy, gdy miesiąc w pełni zabłyśnie przed niewielu jeszcze laty, wskazywali czarną plamkę, jako ciało Twardowskiego, zawieszone do dnia sądu.

Boruta.

Boruta, jestto nazwa sławnego dyabła, co dotąd siedzi pod gruzami Łęczyckiego zamku. Żyje długo, bo już niemal cztery wieki przeżył; teraz przecie musiał się zestarzeć, gdyż wielce się ustatkował i mało o sobie daje wiadomości. Imię to, było głośnem szeroko i długo; a nie jeden Piskorz szlachecki, chciawszy dogryźć sąsiadowi, przeklinał: »Żeby go Boruta zdusił, albo łeb ukręcił!« a dyabeł chętny złorzeczeniu, dopełniał nieraz życzenia.

W pobliżu zamku Łęczyckiego, mieszkał szlachcie niewiadomego nazwiska i herbu, rosły i silny. Nikt z nim nie mógł się mierzyć na szable; bo za pierwszym złożeniem, przeciwni-

kowi silnym zamachem wytrącił oręż z ręki. Jak się raz plecami o zrab domu oparł, całe sąsiedztwo nie dało mu rady.

Stąd szlachcie dostał przydomek Boruty; bo mówiono powszechnie, że musiał mu dyabeł Boruta pomagać, kiedy wszyscy nie podolali jego sile i mocy; a że nosił siwą kapotę, dla różnicy od prawdziwego dyabła, dostał przydomek siwy: tak więc zwał się Siwy Boruta.

Od onej chwili, nikt go nie zaczepił; każdy pomijał lub ustępował z drogi: nawet w gospodzie pijana szlachta, kiedy porwała się do broni, na sam głos Siwego Boruty, wychodziła do sieni, albo na podwórze i tam karbowwała sobie dymiące łysiny.

To uszanowanie, a raczej bojaźń sąsiadów, co znali moc żylastej prawicy, wbiła go w dumę. Uniesiony nią nieraz w zuchwałej przechwałce odgrażał, że jak złapie prawdziwego Borutę, to mu karku nakręci: a skarby, których pilnuje, zabierze. Uważano nieraz, że wtedy slyszeć się dawał w piecu lub za piecem śmiech szyderski.

Siwy Boruta, kiedy pił, a — pił nie lada, bo najteżsi bracia Piskorze nie mogli go przepić; — zawsze pierwszą szklankę wypijał na zdrowie dyabła Boruty: a słyszano odgłos zaraz gruby, przeciągły: »dziękuję!«

Siwy Boruta miał dużo pieniędzy; ale wkrótce w hulance roztrwonił; postanowił przeto dostać się do skarbów i wziąć z parę mieszków złota od »swego miłego pana brata«, jak nazywał dyabła Borutę.



A w kącie na bryle złota siedział sam Boruta. (Zob. str. 78).

O samej północy, zapalwszy latarnię, zuchwały szlachcic, ufając swojej sile i szabli, poszedł do lochów. Wyostrzoną demeszkę trzymał wydobytą z pochw pod pachą, a latarnią rozświecał ciemnotę do koła panującą. Ze dwie godziny chodził po zakrętach; narazcie wybiwszy drzwi jedne ukryte w murze, ujrzał skarby; a w kącie, na bryle złota, siedział sam Boruta w postaci sowy, z iskrzącymi oczyma.

Zbladł i zadrżał na ten widok zuchwały szlachcic: spociał się potężnie ze strachu; pochwili przyszedłszy do siebie, wyrzekł z cicha z ukłonem i pokorą:

„Mnie wielce miłościwemu panu bratu kłaniam uniżenie!”

Sowa kwnęła głową, co rozweseliło nieco siwego Borutę. Ukłoniwszy się raz jeszcze, zaczął wypełniać siwej kapoty kieszenie i mieszki które przyniósł, złotem i srebrem. Tak je obładował, że zaledwie mógł się obrócić.

Już świtać zaczęło, a szlachcic nie przestawał garściami zeragać złota: w ostatku nie mając go gdzie włożyć, począł w gębę sypać; a że miał niemałą, nasypał dosyć i znowu ukłoniwszy się stróżowi, wyszedł z lochu. Załedwie stanął na progu, kiedy drzwi się same za rzasnęły i ucięły mu całą piętę.

Kulejąc, a krwią znacząc ślady kroków swoich, przeładowany skarbami, dobywając ostatki siły, tak dawniej głośniejszy, ledwo doszedł do domostwa.

Upuścił na podłogę złoto i srebro, wypłuł z napchanej gęby, a sam padł wysiłony i słaby. Odtąd miał dużo pieniędzy, ale siłę stracił i zdrowie. Przestękał całe życie; i gdy w kłótni o miedzę wyzwał sąsiada, ten, którego dawniej jednym palcem obalał Siwy Boruta, pokonał bogacza i zabił.

Domostwo jego pustkami zostało; nikt zamieszkać nie chciał, bo sam dyabeł Boruta często przesiadywał w starej wierzbie, bo na podwórzu rosła; odwiedzał izbę i alkierz, pozostałe skarby przenosząc napowrót do zamku łeczyckiego.

Piszczałka.

Były trzy siostry, wszystkie rosłe i gładkie ale najmłodsza celowała urodą starsze. Przyjechał panicz z dalekiej Ukrainy, spotkał siostry na łące, jak rwały kwiaty i zioła na wieniec. Ładna była najstarsza lecz on upodobał najmłodszą sobie i chciał ją pojąć za żonę.

W dni kilka poszły siostry do boru zbierać jagody: najstarsza rozmówiona w paniezu, zabiła najmłodszą: napróżno ją średnia obronić chciała. Wykopała dół głęboki; tak zwłoki martwe przysypała mogiłą, przed rodzicami udając, że siostrę wiley porwali. Nadjechał panicz; pyta o narzeczoną; wszyscy ze łzami opowiadają o zgonie okropnym. — Gorzko i żałośliwie śmierć jej oplakał: ale czas ukoił jego żale, a zabójczyni pocieszając panicza, tyle zjednała sobie serce

jego, że prosił o jej rękę i dzień ślubu naznaczonym został.

A na mogile zabitej siostry wierzba wyrosła: szedł pasterz, wykręcił z gałązki tej wierzby piszczałkę i zadął. Lecz jakże się zdziwił, gdy nie dobył z niej zwykłego tonu — jeno zawsze śpiewała piosneczkę żalobliwym głosem:

»Graj, pasterzu, graj!
 Bóg ci pomagaj!
 Starsza siostra mnie zabiła,
 Młodsza siostra mnie broniła:
 Graj, pasterzu, graj!
 Bóg ci pomagaj!

Poszedł do matki i ojca zabitej, a piszczałka wciąż jednemi odzywała się słowy. Gdy matka zadęła, usłyszała piosnkę.

»Graj, matulu, graj!
 Bóg ci pomagaj!
 Starsza siostra mnie zabiła,
 Młodsza siostra mnie broniła.
 Graj, matulu, graj!
 Bóg ci pomagaj!

Bierze ojciec do ręki i toż samo słyszy.

»Graj, tatulu, graj!
 Bóg ci pomagaj!«

Zapłakana średnia siostra, bierze piszczałkę od ojca — zawsze jedna piosnka.

»Graj! siostrzyczko, graj!
 Bóg ci pomagaj!
 Starsza siostra mnie zabiła,
 Tyś to siostrze mnie broniła.
 Graj! siostrzyczko, graj!
 Bóg ci pomagaj!

Słyszac te pieśni, zbladła zbójczyni; wtedy ojciec i matka podali jej piszczałkę: zaledwie dotknęła usty, krew zamordowanej siostry oblala jej lica, a piszczałka ostatni raz zaśpiewała piosenkę:

»Graj! siostrzyczko, graj!
 Boże cię skaraj!
 Tyś to, siostrze, mnie zabiła,
 Młodsza siostra mnie broniła!
 Tyś to siostrze mnie zabiła,
 Boś mi szczęścia zazdrościła!
 A w dołku's mnie pochowała
 Czarną ziemią przysypała.
 Wyrosły ci tam wierzbiczki,
 Co będą śpiewać piosneczki:
 »Graj, siostrzyczko, graj!
 »Boże cię karaj.«

Poznano wtedy zbrodnię, przywiązano za ręce i nogi do dzikich koni i rozszarpano żywcem; a panicz nie żałując zbójczyni, pojął za żonę pozostałą siostrę!

Koszalki opalki.

Kmieć ubogi rąbał w lesie: słyszy głos o poratunek, patrzy, że człowiek jakiś z wozem i końmi ugrzązł na błotach: pomógł mu chętnie, wydobył z topieli; a ów człowiek rzekł do kmiecia:

— »Czego zechcesz, dam ci wszystko!« — bo był to wielki czarownik.

A gdy kmieć skrobał się w głowę, sam nie wiedząc, co powiedzieć, czarownik dał mu baniana i rzecze:



Poszedł do matki i ojca zabitej. (Zob. str. 80).

— »Ile razy runem trząśniesz, zawsze będziesz miał czerwone« (*)

Kmieć podziękował, zabrał barana i poniósł do nędznej chaty: trząsnął nim silnie, aż pełno złota wysypuje się z pod runa!

W tejże samej wsi mieszkała stara baba, czarownica; dowiedziała się niedługo o baranie, spoila kmiecia i innego podsunęła.

Potrzebując znowu złota, próżno potrząsał baranem — beczał tylko; lecz ni szeląg nie wyłeciał z wełny. Poszedł smutny nad błota i spotkał znajomego czarownika: ten już wiedział o wszystkim; dał mu przeto taką kurę, na którą, kiedy zawołał: »Kurko! kurko! znieś mi złote jajko« — w istocie złote zносиła jajko. Lecz gdy powrócił do domu, baba głupiego kmiecia spoila i podsunęła mu inną kurę. Napróżno wołał na nią, by mu złote jajko zniosła; zносиła ona złote jajka, ale babie czarownicy.

Zasmucony znowu poszedł i napotkał czarownika: ten mu dał obrus taki, co wymówiwszy te słowa: »Obrus! obrus! rozściel się!« rozwijał się zaraz i co zażądał, wszystko było na nim do jedzenia i do picia.

Kmieć ciekawy zaraz w lesie kazał się rozesiać obrusowi, najadł się dobrze i podpił sobie. Czarownica czatowała, ukradła mu ten obrus, w zamian inny podsunawszy. Poznał kmieć podejście baby; idzie więc do czarownika i prosi

(*) »Czerwone« tak lud zowie czerwone złote, podobnie jak Ruś »czerwońce« nazywa.

o co takiego, żeby babę dobrze wybił i odebrał skradzione rzeczy.

Dał mu przeto takową kobiałkę, z której jak zawoła:

»Koszalki, opałki,
Z mojej kobiałki!«

— wylecą dwie dobre pałki i wskazaną pobiją osobę. Kmieć uradowany, wziął na plecy kobiałkę, podziękował czarownikowi, że go już więcej trudzić nie będzie, i prosto do baby zaszedł. Wtedy, gdy ta go częstować zaczęła, rozgniewany krzyknął:

»Koszalki, opałki,
Z mojej kobiałki!«

— i pokazał babę, a pałki zaczynają bić bez litości czarownicę. Napróżno prosi i płacze i przyrzeka, że wszystko odda: wróciła barana, kurę i obrus; ale kmieć kazał, by zabiły babę, bo wiele ludziom szkodziła. — Kiedy już czarownica wyzionęła ducha, zawołał wtedy:

»Koszalki, opałki,
Do mojej kobiałki!«

— a pałki zaraz w nią się schowały. Wtedy mając barana, co jak potrząśł, sypało się złoto; kurę, co złote nosiła jajka, obrus, co wiele chciał, tyle dostarczył jadła i napitku, na ostatek kobiałkę z pałkami; poszedł w świat, przystał do dworu jednego króla; a gdy ten miał wojnę, pobił nieprzyjacielskie wojsko, otrzymał rękę jego córki i sam po śmierci starego króla panował!

Czarownik i uczeń.

Szła uboga niewiasta przez bór ciemny, prowadząc małego syna za rękę. Idąc płakała, bo wiele miała dzieci, nie mogąc dać im sposobu do życia. Aż z pod dębu podnosi się człowiek; a widząc łzy rzewne biednej niewiasty, począł o przyczynę pytać. — Gdy mu opowiedziała powód troski i zmartwienia, uspokoił ją ów człowiek, powiedział, że jest krawcem, a powiedział nieprawdę; bo był to wielki czarownik.

I wziął za rękę młode pacholę, poprowadził do jaskini, przyrzekając matce, że za lat trzy już je wyzwoli. — Odeszła uradowana niewiasta; a mały Jonek zaczął się uczyć sztuki czarnoksiężkiej i wkrótce ów żaczek przeszedł swego bakałarza. Gdy już koniec trzeciego lata nadchodził, wydostał się z jaskini czarnodzieja Jonek i spotkał matkę na zielonej dąbrowie.

Uradowana, zapłakała z radości, widząc jak podrośł i zmężniał. »Moja matulu, trzeci rok za tydzień się skończy; trzeba, żebyś ta przyszli do czarownika i żądali, by mnie uwolnili. On wtedy pokaże ci stado gołębi, nasypie im grochu i każe wam pomiędzy nimi, byś ta syna poznali.«

»Ale nie będą to gołębie, ale wszystko młode chłopięta, które wzięła na wychowanie. Wtedy matulu uważaj, który gołębek nie będzie jadł grochu. ale skakał i bił z radością skrzydełkami, to będzie ja.«

Za tydzień matką poszła do czarodzieja i żądała oddania syna. Ten wziął miedzianą trąbę,

zatrąbił na cztery strony świata, a zewsząd zleciało się mnóstwo gołębi. Nasypał im grochu; gdy wszystkie jadły skwapliwie, kazał jej trafić na syna. Niewiasta upatrzyła jednego, co nie nie jadł, jeno skakał, a bił skrzydelkami z radością. Wskazała nań, a czarownik oddał jej syna.

Ojciec Jonka, szewc z rzemiosła, obarczony liezną rodziną, żył w nędzy. Jonek świadom wszystkich sztuk czarodzieja, rzekł raz do ojca:

Żebyś ta w biedzie nie byli, ja się przedzierzgnę w wołu, krowę i owcę; zaprowadzicie mnie na targ, a z sprzedaży będzie ta mieli pieniądze. Pamiętajcie jeno, byście mnie w konia nie zaklinali, ani uzdy i postronka, z którymi na jarmark poprowadzi ta, nie sprzedawali; bo dla was zginie już zarobek, a mnie źle spotka.

Szewc zaklął raz syna w wołu, drugi raz w krowę, trzeci w barana i zawsze dobrze sprzedał, a z pieniędzy nową chatę wystawił i głodu nie miał. Wszakże łakomy, pomimo przestrogi syna, zaklął go w konia i powiódł na jarmark. Cekał sam już czarownik, kupił konia i tyle zapłacił, że mu i uzdę sprzedał. Tak złapał w swoje sidła rozumnego Jonka, poprowadził do swojej stajni, gdzie na łańcuchu trzymał a głodził, a bił srodze.

Stękał on biedny konik głosem bolesnym, aż służebnica czarownika ulitowała się nad nim. Wechodzi do stajni, a koń znędzony, zaczął rzwie płakać i opowiadać swoją niedolę.

Skruszył jej serce, odcięła łańcuch. Jonek przedzierzgnął się w dorodnego chłopca, podziękował czule dziewczynie; a obawiając się mistrza,



A pałki zaczynają bić bez litości czarownicę. (Zob. str. 84).

wróblem wyleciał na dach i począł wesoło z radości świergotać.

Dostrzegł czarodziej ucieczkę Jonka i poznał go w postaci wróbla: zamienił się sam w czarną wronę, ścigając biedną ptaszynę. Uciekał co siły wróblík, a wrona zażarta nie dawała mu spoczynku: aż wreszcie umęczony, upadł w królewskim ogrodzie, a tuż za nim zdyszana wrona z roztwartym dziobem.

Jonek zrobił się mysim królikiem, a czarownik wróblem i do koła jałowcowego krzaka pędził za nim.

Chodziła wonezas po ogrodzie królowna, a widząc tę walkę, pomyślała sobie:

«Mój Boże! jakaż zajadłość pomiędzy tak małymi ptaszętami.»

Jonek wyczerpawszy wszystkie siły życia, nie mogąc uniknąć zajadłego wróbla, zrobił się pięknym pierścieniem i wskoczył na palec królownie.

Wróbel na próżno go szukał, ale domyślił się sztuki swego ucznia i postanowił go wszelakimi sposobami dostać w swoją moc. Królowna za ledwie do komnaty zamkowej weszła, zdziwiona patrzy na piękny pierścień: aż tu z pierścienia zrobił się dorodny Jonek, opowiedział jej swą niedolę i ostrzegł, że jutro przyjedzie czarownik, strojny jak książę, z licznym orszakiem dworzan, że będzie usilnie prosił o pokazanie pierścienia.

Jakby go schwycił, już byłoby po mnie; ale jeżeli będzie mocno się napierał, rzuć go królowno o ziemię.»

Co powiedział, tak się stało. Nazajutrz z liczną drużyną strojnie przybranych dworzan, zajechał czarownik pod nazwą księcia. Przyszedł na pokoje, a zalecając się królownie, prosił o pierścień. Ale królowna pokochawszy Jonka, nie chciała mu tej ręki dać do pocałowania, na której był pierścień! Lecz kiedy zaczął nalegać, rzuciła go na ziemię. Aż z niego pełno w komnacie grochu: czarownik zatrąbił w miedzianą trąbę na cztery strony świata i zleciało się mnóstwo gołębi, które ten groch pożarły; ale jedno ziarnko wsunęło się w białą dłoń królownej. Ta go rzuciła o ziemię i z ziarnka grochu, pełno w komnacie maku!

Wtedy czarownik zatrąbił w miedzianą trąbę na cztery strony świata i zleciało się mnóstwo wróbli. By prędzej mak wyjadły, sam czarownik zamienił się w wróbla.

Czekał tej chwili Jonek, zrobił się wroną, zagryzł wróbla czarownika i ciało jego rozniósł po kawałku na wszystkie cztery strony świata, żeby się nigdy nie zrosł.

Królowna wzięła go sobie za męża. Wyprawiono sutą ucztę; tam jedli, pili. Byłem i ja, aż po brodzie kapąło, a w gębie nic nie pozostało.

Szkłanna góra.

Na wysokiej szklanej górze stał zamek cały złoty, a przed zamkiem była jabłoń, na ja

błoni złote jabłka. Ktoby złote jabłko urwał, wszedłby do złotego zamku, a w srebrnej jednej komnacie ukryta była królowna zaklęta, dziwnej urody. A miała skarby niezrachowane, piwnice pełne drogich kamieni i w izbach zamku skrzynie ze złotem.

Wielu się zbiegało rycerzy od dawna, lecz na próżno usiłowali, by się wdrzeć na tę górę. Na koniu ostro podkutym, nie jeden darł się daremnie i z połowys romej góry z ciężkim szwankiem spadał nazad. Łamali ręce, nogi i karki!

Piękna królowna z jednego okna patrzyła z żalem, jak próżno tacy rycerze dorodni na dzielnych koniach darli się w górę! Widok królownej zagrzewał serca. Zbiegali się zewsząd ze czterech stron świata, a biedna dziewczica już lat siedem daremnie wyglądała zbawcy!

Nie mało leżało trupów, rycerzy i koni w okolo szklanej góry; wielu konających z polamanemi żebrami, boleśnie stękało. Był to cmentarz prawdziwy!

Już rok siódmy za trzy doby miał się skończyć; gdy we złotej zbroi rycerz nadjechał pod stromą górę. Rozpędził konia, wdarł się w pół góry z podziwem wszystkich, którzy patrzali, i nazad wrócił szczęśliwie. Nazajutrz, równo ze świtem, znowu, gdy mu się pierwsza próba udała, rozpędza swego rumaka: stąpa po górze jako po ziemi, iskry z podkowy błyskają; patrzą zdziwieni wszyscy rycerze — już blisko wierzchołka góry. Niedługo spojrzą znowu, aż on stoi pod jabłonią. — Wtem się wielki zrywa sokół, zaszu-



A tuż za nim zdyszana wrona z otwartym dziobem. Zob. str. 88).

miał skrzydłem szerokiem i uderzy konia w oczy. Rumak parska, nozdrza wzdyma i najeża gęstą grzywę; stanął dęba wystraszony, nogi mu się oślizgają: pada nazad i z rycerzem porysywał szklaną górę; a z rumaka i rycerza nie zostały jeno kości, co brzęczały w zbitej zbroi, jako suchy groch w pęcherzu.

Siódmy rok się kończył, aż nadchodzi żak (student) urodny, młody, silny i wysoki. Patrzy jak rycerzy wielu łamią karki nadaremnie; podchodzi pod ślizgą górę i bez konia się gramoli. Już od roku, słyszał, będąc jeszcze w domu, o królownie, co zaklęta, w złotym zamku siedzi, na wierzchołku góry szklanej. Poszedł przeto do lasu, zabił rysia i pazury ostre, długie przypawił sobie na ręce i do dwóch nóg umocował.

Taką bronią opatrzony, dał się śmiało na garb szklanny: słońce było na zachodzie, żak w połowie drogi ustał: zmęczony ledwie oddycha, pragnienie spiekło mu wargi! Czarna chmura nadpłynęła, próżno błaga i zaklina, by choć kroplę uroniła. Napróżno otwierał usta! chmura czarna przepłynęła, ani rosą nie zwilżyła warg spieczonych jak skorupy.

Pokaleczył krwawo nogi, rękoma się jeno trzyma. Słońce zaszło – patrzy w górę, aby dojrzał jej wierchołka: musiał tak zadzierać głowę, że mu barania czapka spadła. Spojrzy na dół, jaka przepaść! tam śmierć pewna i niechybna! Z przegniłych trupów smrodliwe ścierwy zaduszały oddech czysty: były to szczątki zuchwalej młodzi, co się darli jak on tutaj

Już mrok ciemny, gwiazdy blado oświecały szklaną górę; a żak młody, jak przykutą na skrwawionych rękach wisi. Wyżej drzeć się już nie może, bo wyczerpał wszystkie siły: sam nie wiedząc, co począć, wyciągniony czeka śmierci. Nagle sen mu skleił oczy, zapomina kędy leży, strudzony smacznie usypia; lecz choć we śnie ostre szpony tak głęboko w szkło zapoił, że przespał się do północy, nie zleciawszy z onej góry.

Złotej jabłonki pilnował sokół, co zrzucił z koniem rycerza: zawsze w nocy, jak czujny strażnik oblatwał górę wokoło. Zaledwie miesiąc wyszedł z za chmury, uniósł się z jabłoni i krążąc w powietrzu, zobaczył żaka.

Łakomy ścierwu, pewny, że trup świeży, spuszcza się nagle i siada. Lecz żak już nie spał, dojrzał sokoła i postanowił z jego pomocą uratować się z tej góry.

Sokół zapuścił szpony ostre w ciało: wytrzymał ból mężnie i uchwycił za nogi ptaka; ten przestraszony uniósł go wysoko nad zamek i począł krążyć wokoło wysokiej wieży. — Żak krzepko się trzymał: patrzył na lśniący zamek, co przy bladych promieniach miesiąca świecił jak mgła lampa: patrzył na okna wysokie, migające różnobarwną ozdobą, a na ganku siedziała śliczna królowna, zatopiona w myślach, dumając nad swoją dolą. Widząc, że blisko leci jabłoni, dobył z za pasa kozika (*) i obydwie odciął nogi

(*) Kozik, rodzaj małego noża składanego, zwany inaczej Cygankiem, który lud nasz zawsze przy pasie na rzemieniu nosi.

sokołowi Ptak zerwał się z bólu wyżej i znikł w obłokach, a młodzieniec spadł na szerokie gałęzie jabłonki.

Wtedy dobył szpony sokole, ugrzęzłe wraz z szponami w ciele, a skórkę złotego przyłożywszy jabłka do ran skaleczonych, wnet wygoił wszystkie. Narwawszy pełne kieszenie złotych jabłek, wchodzi śmiało do zamku: przy bramie zatrzymuje go smok wielki; lecz zaledwie rzucił nań jabłko, smok skoczył w rów i zniknął.

Zaraz się wielka otworzyła brama, zobaczył podwórzec pełen kwiatów i drzew ślicznych; a na wysokim ganku siedziała zaklęta piękna królewna wraz z dworem swoim.

Ujrawszy dorodnego młodzieńca, zbiegła ku niemu, witając w nim rada pana i męża. Wszystkie skarby mu oddała, a żak młody został wielkim i bogatym panem: na ziemię wszakże już nie powrócił, bo wielki sokół, co był strażnikiem i zamku tego i samej królewnej, mógł tylko zamek i skarby na skrzydłach swoich na ziemię przenieść. Lecz kiedy nogi postradał, w pobliskim lesie, na szklanej górze, znaleziono jego zwłoki!

* * *

Gdy raz z królewnią, a żoną swoją chodził po ogrodzie zamku, spojrzy na dół i widzi z podziwem, że się mnóstwo ludzi zbiera. Swisnął więc w piszczalkę srebrną, a jaskółka, co służyła za posłańca w złotym zamku, nadleciała.

— „Idź się dowiedz co nowego!” rzekł do małej ptaszyny.



Sokół zapuścił szpony ostre w ciało. (Zob. str. 93.)

I jaskółka szybko leci, wkrótce wraca i powiada:

— »Krew z sokoła ożywiła martwych zwłoki: wszyscy, co polegli pod tą górą, wdzierając się na nią zuchwale, wstali ze snu, dosiadają rzeźwe konie; a lud cały, dziwem zdjęty, patrzy na cud niesłychany.«

Trzej bracia.

Czarownica, w postaci wielkiego sokoła, ustawicznie wybijała w kościele okna. W tejże wsi samej, gdzie stał kościół, było trzech braci, którzy się uwzięli, by zabić szkodnego sokoła. Ale na próżno dwaj starsi ze strzelbami czatowali; ile razy ptak nadlatywał, sen kleił im powieki i budzili się dopiero brzękiem szyb połączonych, z domu bożego.

Poszedł najmłodszy na czaty; lecz, żeby nie zasnął, pod brodę położył sobie ciernie, by jak głowę pchylili, snem zmorzony, z ukłuciem się ocknął.

Już miesiąc zaszedł, rozwidnił wieczór: słyszy szum wielki. Czarownica go dojrzała i spuściła nań drzymotę. (*) Skleily się powieki, ale zaledwie głowa spadła mu na ramię, aż do krwi cierniem ukłuty, rozbudził się zaraz. Widzi, że

(*) Drzymota, nie jest to sen zwyczajny, lubo go zawsze poprzedza. »Kiedy kogo drzymka napadnie«, jak lud mówi, może wszystko słyszeć i często widzieć: przeciwnie we śnie nie nie usłyszysz ani widzi.

że sokół już blisko kościoła; porywa strzelbę mierzy, a z odgłosem wystrzału, upada pod wielki kamień sokół z gruchotanem skrzydłem. Przybiega w to miejsce i dostrzega, że pod tym kamieniem roztwarła się niezmierzona przepaść. — Daje znać braciom: ci przynieśli sznur długi i łączywa dosyć; uwiązali go i z zapalonemi drzazgami spuścili aż na dno. Ciemno było z pozostatku, a smolne łączywo oświecało tylko ściany wilgotne i brudne. Aż nagle ukazała się piękna kraina; kwitły tam kwiaty ciągle bez zmiany i zawsze zielone drzewa.

Wśród tej krainy stał wielki zamek, cały z muru i kamieni: żelazna brama stała otworem. Smiały młodzieniec na zamek wchodzi; a pierwsza izba miedziana. W niej siedzi panna, złoty włos czesze, co włos upadnie, zabrzęczy. Widzi, że gładka, białego ciała, oczu sokolich, złotego włosa: rozmiłowany klęka i prosi, czy go nie przyjmie za męża. Piękna dziewczyna oddaje rękę, ale zarazem ostrzega, że wprawdzie nie może wniknąć na ziemię, dopóki jej matkę czarownicę nie zabije. Lecz niezem więcej zabić nie zdoła, jak tylko mieczem, co wisiał w zamku; a miecz taki ciężki, że go nie dźwignie!

I poszedł dalej. W srebrnej komnacie siedziała siostra rodzona, srebrny włos czesze, co włos upadnie, to brzeczy, jakoby strona. Ta miecz podała, ale nie dźwignął, na próżno wytężał siły; aż trzecia siostra dała mu kropki, co mocniejszym człeka robią. Wypił jedną, lecz nie dźwignął; wypił drugą, podniósł trochę; za trzecią

dopiero kroplą zaczął ciężkim mieczem władać!

Wtedy utajony w zamku, czekał matki czarownicy: ciemnym zmrokiem nadlatuje, na jabłoni dużej siada, poskubała złotych jablek i upadła pod jabłonią. Wnet przybrała postać czлека i z sokoła jest niewiasta. Cekał na to młody junak, machnął silnie ostrym mieczem; spadła głowa, krew trysnęła!

W onczas wolny od obawy, skarby w skrzynię upakował, które bracia wyciągnęli. Za skarbami trzy dziewice wydostały się na ziemię. Wszystko wybrał, sam się został, braciom przecież nie ufając, do sznura kamień uwiązał, począł głośno wołać na nich, by i jego wydobyli. Z początku ciągnąć poczęli; za ledwie w połowie drogi puścili nagle, a kamień twardy, w drobne rozleciał się kawałki.

— »Takby się moje kości skruszyły!« rzekł zasmucony młodzieniec; zapłakał rzewnie, ale nie skarbów, lecz płakał gładkiej dziewicy z łabędziem ciałem, ze złotym włosiem.

I błądził długo zasępiony, osowiały, po tej krainie wiosennej. — A że spotka czarownika, ten go pyta o łez powód. Gdy mu wszystko opowiedział, rzekł:

— »Bądź spokojny, młody człeczko! jeżeli dzieci mi obronisz, na złotej skrytej jabłoni, wyniosę cię wnet na ziemię. Bo czarownik, co tu drugi, tę krainę zamieszkuje, zawsze dzieci mi wyjada. Próżno kryłem je pod ziemię, próżno w zamku murowanym! Teraz trzymam je na drzewie:

skryj się z mieczem w tej jabłoni, o północy przyjdzie zbrodzień.

Młodzieniec wdarł się na drzewo, złotych jablek narwał sobie i miał sutą z nich wiecezrę.

O północy wiatr zaszumiał i pod drzewem szmer usłyszał: spojrz na dół, aż tu robak wielki, długi, sunie prosto: okręca się na pniu w około i podsuwa coraz wyżej. Ogromną głowę z gałęzi, z iskrzącem okiem wychyla, aby dojrzeć gniazdo dzieci, co stulone, drżące z strachu, pochowały się pod liście.

Wtedy ciężkim mieczem machnął i odciął głowę od razu: kadłub w drobny mak posiekał i rzucił na cztery wiatry.

Ojciec dzieci ucieszony ze śmierci swojego wroga, wiał młodzieńca na swe barki, wyniósł z pieczary na ziemię.

Z jakąż on radością leciał do białego dworu braci: wbiegł do izby, nikt nie poznał; tylko jego ulubiona za kucharkę u siostr służąc, zaraz lubego poznała.

Bracia strwożeni przybyciem, co go zmarłym ogłosili, skarby wszystkie mu oddali, a sami uciekli w lasy. Lecz on kazał ich odszukać, równo z nimi się podzielił, wielki zamek wybudował ze złotymi oknami, miedzianymi drzwiami i tam z żoną złoto włosą szczęśliwie do śmierci mieszkał.

Wali góra — Wyrwi dąb.

Żona jednego myśliwca, zbierając w lesie jagody, porodziła tam bliźnięta; a obadwa byli chłopey, sama zaraz wnet umarła.



Wtedy utajony w zamku, czekał matki czarownicy. (Zob. str. 98).

Zostawione niemowlęta nie karmiła żadna z niewiast: jednego karmiła wilczyca, a drugiego niedźwiedzica. Co wykarmiła wilczyca, teraz się nazwał Wali-góra; drugi Wyrwi-dąb się nazwał. Pierwszy słą walił góry, drugi jakby kłosa zboża, najtęższe wyrwał dęby.

Że się kochali wzajemnie, wychodzili na wędrówkę, by obchodzić świat szeroki. Idą przez puszcę ciemną dzień jeden i drugi: w trzecim dniu się zatrzymali; bo drogę zaparła góra skalista i wysoka.

— «Co my teraz zrobiem, bracie?» zawołał Wyrwi-dąb smutnie.

— «Nie troszcz się, bracie miły; ja tę górę precz odrzucę, by nam droga wolną była.»

I podpiera ją plecami i przewraca górę z trzaskiem: odsunął ją na pół mili. Poszli sobie zatem dalej.

Idą prosto, aż dąb wielki stoi na środku drogi: zatrzymuje ich w pochodzie. Wyrwi-dąb więc idzie naprzód, obejmuje go rękoma, wyrwa z całym korzeniem i rzuca na bliską rzekę.

Ale chociaż tacy mocni, nogi przecież utrudzili: więc pod lasem odpoczęli. Jeszcze sen nie skleił powiek, patrzą, aż mały człowieczek leci ku nim, lecz tak prędko, że ptak żaden ni zwierz żaden nie potrafiłby go dogonić.

Zdziwieni wstają na nogi, gdy on człeczek w ptasim locie zatrzymuje się przed nimi.

„Jak się macie, parobczaki! rzekł wesoło i radośnie: „widzę żeście utrudzeni: jeśli wola wasza będzie, w jednej chwili was zaniosę tam, gdzie jeno zażądacie.“

Rozwinał piękny kobierzec. — »No, siadajcie razem ze mną!« Wyrwi-dąb więc z Wali-górą usiedli wygodnie na nim. Człeczek klasnął, a kobierzec niesie ich niby ptak na skrzydłach.

— »Zapewne was to dziwiło?« człeczek mały znowu rzeknie — »żem tak prędko biegł po ziemi: widzicie, oto trzewiki, com dostał od czarownika; kiedy wdzieję, wtedy biegnę: co krok to mila; co skoczę, to dwie.«

Wali góra prosi, tedy Wyrwi-dąb łączy swe proźby, by dał po jednym trzewiku; bo chociaż są tacy mocni, jednak droga nogi trudzi. Poruszony więc proźbami, podarował im trzewiki! Gdy niemało ulecieli, zsadził ich pod wielkiem miastem, a w tem mieście był smok wielki, codzień wiele ludzi zjadał. Król ogłosił: »Kto się znajdzie, że tego smoka zabije? — dwie mam córki do wyboru; jedną oddam mu za żonę i po śmierci tron swój oddam.«

Stają więc bracia przed królem, oświadczają swą gotowość, że zabiją tego smoka. Pokazano im jaskinię, gdzie ten potwór zamieszkiwał. Idą śmiało na pół drogi: on mały człeczek się zjawia.

»Jak się macie, przyjaciele! wiem, gdzie kres jest waszej drogi; lecz posłuchajcie mej rady: włóż każdy na nogę trzewik, bo smok jak wyskoczy nagle, nie da machnąć ręką.«

Posłuchali mądrej rady. Wyrwi-dąb stanął przed jamą, wzniósł z zamachem dąb ogromny, by jak tylko łeb ukaże, jednym ciosem smoka zgładził. Wali góra zaszedł z tyłu i jaskinią z szczerej skały trzęsie, jakby snopem żyta.

Smok wypadnie nagle z jamy, a Wyrwi-dąb przestraszony, zapomniawszy o kłodzie, co ją trzymał w obu rękach, szczęściem, że widział dany trzewik, bo uskoczył na dwie mile. Smok, nie mogąc go dogonić, obrócił na Wali-górę: ten w przestachu skałę podniósł i z zamachem silnie rzucił, a głaz świszcząc padł na ziemię i przycisnął ogon smoka. Wali-góra choć tak mocny, w tył uskoczył na dwie mile i zobaczył brata swego.

— »Idźmy teraz, bracie razem; smok się z miejsca nie poruszy, ty go uderz kłodą dębu, a ja go przywalę górą.«

Idą naprzód więcej śmiało: jeden w rękę niesie górę, a drugi dębem wywija. Zawył smok jak stado wilków, widząc obu przeciwników: chciał się rzucić, lecz daremnie, ogon ciężki głaz przyciska. Wyrwi-dąb uderza silnie i rozgniata łeb na miazgę, a brat jego rzuca górą i zakrywa całe ścierwo.

Król już czekał: przyjął obu i dał im po jednej córce; a kiedy nie długo umarł, królestwem się podzielił i szczęśliwie sobie żył.

Brat i siostra.

Było rodzeństwo brat i siostra, oboje sieroty, bez ojca i matki; a chociaż mieli znaczne królestwo, nie byli wszakżesz szczęśliwi.

Siostra była tak piękna, że rodzony brat się

w niej zakochał bez pamięci. Gdy prosił, by mógł ją pojąć za żonę, odrzuciła jego nalegania, w on czas z rozpaczą zawołał:

»Pójdę w świat szeroki; jeżeli znajdę podobną do ciebie, nie zobaczysz mnie już więcej; bo tylko taką pojmem za żonę, co ci we wszystkim będzie podobną, jeżeli nie znajdę, wrócę nazad i musisz być moją.«

Przyrzekła mu niebaczna; a młody królewicz napróżno jeździł i chodził na wschód i zachód słońca. Siedem lat wędrował, na końcu siódmego roku brat powraca i żąda, by dotrzymała swego przyrzeczenia. Dopiero swój błąd poznała, a chcąc odwłoki, zapragnęła, by jej suknię taką świetną jak miesiąc i gwiazdy sprawił.

Nie długo przyniósł jej szatę ozdobną; wtedy zażądała sukni tak świetnej jak słońce. I tę prędko otrzymała. Na ostatek chciała mieć taki wózek ażeby ją gdzie zechce zaniósł i, żeby na nim niewidzialną była.

Za pomocą czarownika, dał jej i wózek cudowny: wtedy nie mogąc już odwrócić, oznaczyła dzień ślubu. Weszła do osobnej komnaty, odprawiła skrycie służbę, a sama stojąc na wózku, poczęła szaty oblekać. W on czas gdy suknie kładła, czy zapinała, przemawiała takie słowa:

»Rozstąp się ziemio!
Brat siostrę za żonę bierze:
To wielki grzech!«

Gdy już gotowa do ślubu stała, ziemia się rozstąpiła i piękna królewna zapadła się z wó-



Smok wypada nagle z jamy. (Zob. str. 103.)

zkiem; lecz wpięrow plunęła i tej ślinie nakazała, by głosem służebnej mówiła.

Brat niecierpliwy przysyła dworzana, ten puka we drzwi i pyta, czy królowna prędko będzie gotowa?

A ślina na to głosem służebnicy:

— »Już pończochę jedną wdziała.«

Niedługo znowu, dworzaniin uderza we drzwi.

— »Goście czekają, pan młody czeka, czy prędko pani gotowa?«

Ślina odrzeknie:

— »Suknie już wdziała, niedługo będzie.«

Wieczór nadchodzi, mrok ciemny pada; niecierpliwiony pan młody, gdy próżno szuka, na próżno woła, drzwi odbijać rozkazuje. Wpada z dworem, aż mu ślina odpowiada, gdy o siostrę zapytuje:

»Siostra twoja, już pod ziemią,
Zostawiła ci te słowa!

— Rozstąp się ziemio!

Brat siostrę za żonę bierze:
To wielki grzech!«

Barani kożuszek.

Piękna królowna miała srogiego i przykrego ojca. Nie mogąc wytrzymać w domu, wdziała na się kożuch brudny i poszła wyszukać służby.

Z państwem ojca graniczyła królowa wdowa, mająca jedynaka syna, co, nagłony ażeby pojał

żonę, długo nie mógł dobrać małżonki. Do niej się to w służbę do kuchni królowna udała. Nadeszło święto. Biedna pomywaczka chciała pójść do kościoła; ale pani wyniosłszy garnek maku, zmieszanego z popiołem, rozkazała, by mak osobno wybrać, bo prędej nie pójdzie do kościoła, dopóki roboty zadanej nie skończy.

Usiadła więc na podwórzu i gorzko zapłakała sobie. Aż w tem nadlatują dwa siwe łabki: »Nie płacz, królowno!« wyrzekną słami z cicha: »połóż się na murawie i śpij spokojnie: my ci mak wybierzemy i zbudzimy rano, jeszcze będziesz w kościele.«

I sen jej skleił powieki. Zbudzona i widzi z dziwem, że mak przebrany. Nie pani i spieszy do lasu.

Na drodze spotkała młodego królewicza, który remu bicz upadł; podnosi mu i oddaje; a królewicz dzieńiec rozgniewany, uderza ją po kożusku. Słakana poszła do boru. Tam w zarośli stał dąb wielki, z którego wszystko co zapragnęła, mieć mogła. Uderzy weń ręką i rzeknie:

— »Otwórz się, otwórz, złoty dębie! niech mam bogate suknie, kolaskę i dworzana.«

I wnet złociste błysnęły na niej szaty, wsiała w bogatą kolasę, a otoczona licznym dworem, pojechała do kościoła.

Zaledwie weszła, wszystkich oczy się na nią zwróciły. Był obecny i królewicz młody. Ujęty wdziękiem i jej urodą, śle do niej marszałka swego, by się dowiedział, zkąd ładna pani?

— „Z podniesionego biczyska!“ odrzekła zapytana

A młody królewicz napróżno szukał grodu lub wioski z takową nazwą

I znowu kilka upłynęło niedziel, nadeszło święto, a pomywaczka znowu prosiła pani, aby jej pozwoliła do kościoła. A pani znowu wynosiła dwa garnce maku z popiołem, by osobno mak brała, bo prędzej nie pójdzie do kościoła.

Usiadła więc znowu na podwórzu i gorzko płakała sobie; aż w tem nadleciały dwa siwe wrony.

— „Nie płacz, królewno!“ wyrzekną z cicha; — „siądź na murawie i śpij spokojnie; my ci przyjdziemy, zbudzimy rychło, a jeszcze będziemy w kościele.“

Wreszcie sen jej skleił powieki. Zbudzona patrzyła, że mak przebrany. Niesie do pani, spieczętowany w lasu. Aż na dziedzińcu spotyka królewicę, co szukał pierścienia złotego. Znajduje królewicę z pierścieniem i oddaje młodzieńcowi; a ten z gniewu, odbiera pierścień, samą z gniewem odpycha, by bogatych szat sobie nie pobrudził.

Splakana, poszła do lasu: tam w zarośli stał dąb wielki, z którego wszystko, co zapragnęła, mieć mogła. Uderzyła weń ręką i rzeknie:

— „Otwórz się, otwórz, mój dębie złoty! niechaj mam szaty, pojazd i dworzan.“

I wnet bogate na niej jaśnieją szaty, złoty pojazd zajeżdża, a orszak liczny z barwą dworzanów w około panią otacza.

Zaledwie weszła do cerkwi bożej, wszystkich



Gdy już gotowa do ślubu stała, ziemia się rozstąpiła. (Zob. str. 104).

oczy się na nią zwróciły. Był obecny i królewicz młody. Ujęty wdziękiem i jej urodą, śle do niej marszałka swego, by się dowiedział, zkąd ładna pani?

— „Ze złotego pierścienia!“ odrzekła służka. Młody królewicz napróżno szukał grodu lub siola z takową nazwą.

I wraca nazad z dworem do lasu, dąb ukrył pojazd i orszak dworzan, zamknął się znowu; młoda królowna okryta brudnym kożuchem, poszła do zamku królowej, kędy mieszkała.

I znowu ułynęło kilka niedziel, nadeszło święto, znowu prosi do kościoła. Już jej pani nie zadała żadnej roboty, a młoda królowna spieszy do boru, uderza w dąb ręką i rzeknie:

— „Otwórz się, otwórz, mój dębie złoty! daj mi szaty najbogatsze, daj mi powóz najpiękniejszy, orszak dworzan najstrojniejszy.“

Zajaśniały na niej szaty, całe od złota i srebra, zaświecił pojazd ozdobny i orszak dworzan przy barwie. Zaledwie weszła do cerkwi bożej, wszystkich oczy się na nią zwróciły. Był obecny i królewicz młody.

A gdy ją wszędzie napróżno szukał, umyślił zdradą domacać prawdy. I skoro weszła, już beczki smoły, co w pogotowiu ukryte stały, rozlał przed kościół i cały cmentarz oblał powodzią smoły.

Młoda królowna wychodzi z cerkwi, przyłopa jej się leciuchna stopa. Ucieka prędzej, lecz jeden trzewik w zdobyczy zostawić musi. I wraca nazad z dworem do lasu, pełna obawy i trwo-



Służakana poszła do boru. (Zob. str. 107).

gi; dąb ukrył pojazd i orszak dworzan; zamknął się znowu; młoda królewna okryta brudnym kożuchem, poszła na zamek, kędy służyła.

Królewicz młody cały w radości, porywa trzewik zdobyty i szuka wszędzie, by odkryć piękność nieznaną. Napróżno szukał, obsyłał wszędzie; na żadną nogę trzewik się nie zdał, nie było nogi tak składnej, malej.

Dręczony smutkiem i zadumany, chodzi przed zamkiem z głową schyloną; aż nadlatuje para gołąbków, obadwa białe jak mleko.

— Nie dumaj próżno, młody paniezu! rzekły słowami i głośno: „wiemy, co myślisz i pragniesz. Przypomnij sobie, kto ci niedawno na drodze biczyk podniósł, a kto ci potem zgubiony złoty pierścień wyszukał i oddał. Znajdziesz tam nogę na trzewik złoty.“

I odleciały. Królewicz prędzej wołać na zamek rozkazał, by pomywaczka w brudnym kożuchu przyszła do komnat złocistych.

Próżno płakała, daremne żale, na rękach prędko ją wnieśli; aż z pod brudnego kożucha błysnie bogata szata i trzewik jeden. Poznano wonezas, że ta, co serce rozmiłowała królewicza, była wzgardzona w kuchni służebnica.

Wkrótce brzmiał zamek muzyką, pieśnią; z beczek lały się miód i wino, bo obchodzono huczne wesele królewicza z baranem, jak nazywano, kożuszkiem.

A blisko dębu owego, co dawał szaty, pojazd i dworzan, królewna stawiała kaplicę na cześć, chwałę i podziękowanie Bogu.

Duch pogrzebanego.

Szedł drogą do miasta żak ubogi i spotkał pod murami bramy ciało zmarłego człowieka, nie pochowane, potrącone nogą przechodniów. Nie wiele miał w mieszk, ale dał z chęcią na pogrzeb, by nań nie pluto i nie rzucano kije. Pomodlił się nad świeżo wysypaną mogiłą i poszedł dalej w świat wędrować.

W dębowym lesie sen go zmorzył; a gdy się zbudził, z podziwem zobaczył pełne kieszenie złota. Dziękował niewidomej dobroczynnej ręce i przyszedł nad wielką rzekę, gdzie się przeprawiać potrzeba było. Dwaj przewoźnicy ujrzawszy pełne kieszenie złota, wzięli go w łódkę i na samym wirze, odebrawszy złoto, utopili.

Gdy bezprzytomnego unosiły wały, przypadkiem pochwycił deskę i za jej pomocą, wypłynął szczęśliwie na brzeg. Nie była to deska, ale duch pogrzebanego i temi doń przemówił słowy: — »Uczyłeś moje zwłoki pogrzebem; dziękuję ci za to! Na znak wdzięczności, nauczę cię jak się przemienić można w wronę.« Tu go nauczył zaklęcia »Oto masz list do mego rodzzonego brata, on cię nauczy przedzierzgnięcia w zającą i sarnę.«

Żak nauczony zaklęć, z łatwością mógł się przemienić we wronę, zającą i sarnę. Wędrował długo, wędrował daleko, aż powędrował na dwór możnego króla, gdzie został strzelcem nadwornym. Król ten miał córkę nadobną; ale ta mieszkala

na wyspie niedostępnej i zewsząd oblanej morzem. Mieszkała w miedzianym zamku, a miecz miała taki, że kto nim machnął, największe wojśka zwyciężał. Właśnie nieprzyjaciele naszli granicę onego króla, zapotrzebował i zapragnął zwycięzkiego miecza! Lecz jakże go otrzymać, gdy nikt się dotąd jeszcze nie dostał na wyspę samotną!

Ogłosił przeto, że ktokolwiek miecz zwycięzki od królownej przyniesie, nie tylko, że jej rękę otrzyma, ale i tron po nim osiedzie.

Nikt nie był tak śmiały; aż żak wędrowny, a teraz strzelec nadworny staje przed królem, oświadcza gotowość, prosi o pismo, by na ten znak, królowna oręż wydała.

Zdziwili się wszyscy, a król powierzył mu pismo do swojej córki. Poszł do lasu, nie wiedząc wcale, że drugi strzelec nadworny za tropami jego śledzi.

Zrobił się naprzód zającem, a potem sarną i leciał prędko i żwawo: ubiegł drogi już nie mało, aż nad brzegiem morza staje. Wtedy zamienił się w wronę i przeleciał wody morza, a nie spoczął, aż na wyspie.

Wszedł do zamku miedzianego; pięknej królownie oddaje pismo od ojca i prosi, by mu miecz zwycięzki dała.

Piękna królowna na strzelca patrzy. Ujął jej serce od razu. Pyta ciekawie, jakim sposobem mógł się dostać do jej zamku, co obłany zewsząd wodą, stopy ludzkiej nie dowidział?

Wtedy strzelec opowiedział, że znał tajemne



I staje przed nim on duch znajomy. (Zob. str. 117).

zaklęcia, któremi zmienić się może w sarnę, zającą i wronę. Piękna królowna prosi więc strzelca by się w jej oczach zamienił w sarnę. A gdy się zrobił wysmukłą sarną i począł się łąsić i skakać, królowna skrycie z samego grzbietu wycięła mu kłosek sierci. Kiedy się znowu w zającą zamienił, z pośpieszeniem słuchami skakał, królowna skrycie z samego grzbietu wycięła mu sierci trochę. A gdy się zrobił czarną wroną, zaczął podlatywać w komnacie, ze skrzydeł ptaka królowna skrycie wyrwała po kilka piórek.

Wnet napisała pismo do ojca i oddała miecz zwycięzki. Żak młody wroną przeleciał morze, biegł potem sarną nie mało drogi, aż blisko lasu, zającem skacze.

Zdradliwy strzelec już tam czatował, widział kiedy się zamienił w zającą i poznał teraz. Naciągnął łuku, wypuścił strzałę — zabił zającą. Wyjął mu pismo i miecz odebrał: poszedł do zamku, królowi pismo i miecz zwycięzki oddaje, lecz zarazem spełnienia obietnicy danej żąda.

Król radością uniesiony, zaraz przyrzeka rękę córki; wsiadł na konia i z tym mieczem przeciw wrogom jedzie śmiało. Ledwie dojrzał ich sztandary, machnął silnie kilka razy, a na cztery strony świata. Za każdym zamachem miecza, szeregi wrogów trupem upadły, a drugie trwoga przejęte, jak zające uciekały.

Wraca wesół ze zdobyczą i sprowadza piękną córkę, by strzelcowi, co miecz przyniósł, oddał za małżonkę.

Sprawiono ucztę. Już brzmia grajkowie,

cały zamek świeci jasno. Lecz królowna zasmucona, siedzi obok strzelca zbójcy; poznała zaraz, że nie ten wcale, którego widziała w zamku, ale nie śmiała ojca zapytać, gdzie tamten dorodny strzelec; płakała tylko wiele, a skrycie do tamtego serce biło.

A on żak biedny, w zajęczej skórze, leżał zabity pod dębem, leżał rok cały. Aż jednej nocy czuje się zbudzon ze snu mocnego. I staje przed nim on duch znajomy, którego ciało pogrzebał. Ten mu przygody jego powiedział, wrócił do życia i mówi:

— Jutro już królownej zaślubiny: spiesz więc do zamku co prędzej, ona cię pozna, pozna i strzelca, co ciebie zabił zdradziecko.

Młodzieniec zerwał się żywo, idzie do zamku z bijącym sercem, wchodzi do wielkiej komnaty, gdzie liczni goście jedli i pili. Piękna królowna wnet go oznała: krzyczy z radości i mdleje, a strzelec zbójca, skoro go dojrzał, zbladł ze strachu i zzieleniał.

Wtedy młodzian opowiedział zdradę strzelca i morderstwo; a, by słowom dał świadectwo, w obec wszystkich zgromadzonych zrobił się wysmukłą sarną i począł się królownie łąsić. Ta mu sierć uciętą w zamku na grzbiet sarny przyłożyła, a sierć zaraz przyrosła. Znowu zamienił się w zającą i podobnie sierć uciętą, którą królowna schowała, za dotknięciem wnet przyrosła. Wszyscy patrzą zadziwieni, aż się młodzian zrobił wroną. Królowna dobyła piórek, co z skrzydeł w zamku wyrwała, a piórka zaraz przyrosły.

W on czas stary król rozkazał, aby strzelca zbójcę stracić. Wywiedziono cztery konie. A były to wszystko dzikie. Przywiązano ręce i nogi, popędzono biczem konie; a te, za jednym podskokiem rozszarpały zdrajcę strzelca.

Młodzieniec otrzymał rękę młodej i gładkiej królownej. Cały zamek jaśniał świetnie: pili, jedli z wesołością; a królowna nie płakała, bo jak chciała, tego miała.

Zaklęty w wronę.

Były trzy siostry w królewskim zamku, wszystkie młode, równo gładkie. Najmłodsza, lubo urodą nie przechodziła swe siostry, jednak z nich była najlepsza.

Nie daleko, o pół mili, stał drugi zamek zniszczony, a przy nim ogród prześliczny: tam to najmłodsza królowna często na przechadzkę chodzi.

Raz, gdy pod lipami idzie, aż z pod krzaka różanego występuje czarna wrona, poszarpana i skrwawiona. Kiedy nad nią ubolewa, aż ta wrona mówić pocnie:

„Nie jestem ja czarna wrona, lecz młody królewicz, co zaklęty na pokucie muszę spędzać młode lata. Gdybyś chciała, o królowno! ty jedna mnie zbawić możesz. Połącz się ze mną na zawsze, opuść ojca i rodzinę, przenieś się do tego zamku. Jest jedna komnata cała, stoi tam łożo złociste; tam będziesz mieszkać samotnie.”



Aż z pod krzaka różanego występuje czarna wrona. (Zob. str. 119).

Ale pamiętaj! Cokolwiek w nocy zobaczysz, cokolwiek w nocy usłyszysz, żebyś żadnego okrzyku trwogi, ni przestachu nie wydała; bo jeżeli choć raz krzykniesz, męki się moje podwoją.

A królewna litościwa opuszcza rodzinę, ojca i przenosi się do zamku; zamieszkała całą izbę, gdzie stało łóże złociste.

Zadumana spać nie może. Zbliżyła się północ sama: słyszy z trwogą, że ktoś idzie; drzwi na ścieżaj się roztwarły i czereďa złych szatanów wchodzi do tejże komnaty. Na dużym kominie pali i nanieca duży ogień: na nim stawia wielki kocioł, a pełen wody kipiącej. Potem z hałasem i krzykiem zbliżają się do jej łóża, porywają dziewczę drżące i niosą do kotła.

Mało z strachu nie skonała, jednak ni słowa nie rzekła — aż kur zapiał: wszystko znikło. I pokazuje się jej wrona, skacząc rada i wesola. Dziękuje czule królownie, że odważnie zniosła wszystko i zmniejszyła mu cierpienia.

Jedna z sióstr ciekawa zawsze, wywiedziała się o wszystkim: więc przychodzi w odwiedzin: tyle prosiła królowej, że ta w końcu zezwoliła, by z nią jedną noc przespala. Kiedy o północnej dobie złe duchy się pokazały, siostra z przestachu poczęła krzyżeć, a królewna zaraz słyszy jęk i piski biednej wrony. Odtąd siostry nie przyjęła już nigdy potem w gościnę!

Pędząc samotne godziny, wytrzymała wszystkie strachy: codzień wrona przychodziła, dziękując za zmniejszone cierpienia. Było już tak ze

dwa lata, raz się wrona ukazała i poczęła taką mowę:

— »Za rok będę uwolniony od pokuty, którą znoszę; bo się siódmy rok skończy. Nim odzyskam swoją postać, ojca skarby i dziedzinę, musisz pójść po świecie s użyć.«

Posłuszna młoda królewna woli swego oblubieńca, służywała przez rok cały: a chociaż młoda i gładka, uniknęła zdradnych siel.

Kiedy przedła w wieczór nocy, spracowawszy ręce białe, słyszy gwar, wesole krzyki. Aż tu wchodzi piękny młodzieniec, klęka przed nią i całuje ręce białe, narobione.

— »Ja to jestem on królewicz, co zaklęty w czarną wronę, któregoś sama wybawiła od męczarni i pokuty. Chodź więc ze mną, na mój zamek: tam będziemy żyć szczęśliwie!

Przyjeżdżają pod ten zamek, gdzie takich strachów doznała, już go i poznać nie mogła, tak był cały ozdobiony: w nim sto lat szczęśliwie żyła, nie doznawszy przykłej doli.

Gołębek.

Młody królewicz jedzie na łowy i dojrzał wysoką jabłoń: na niej złote jabłka rosną. Posyła dworzan po owoc, lecz, gdy który ręką sięgnie, gałęzie wnet uskakują i nie dadzą jabłka zerwać. Rozgniewany królewicz więc sam z rumaka swego skacze i biegnie pod ową jabłoń. Lecz podobnie jak dworzanom, z rąk uciekają

owoce. Aż ukaże się gołąbek, a bijąc siwemi skrzydły, wiedzie w zamek opuszczony, zdziwionego królewicza.

W jednej komnacie zniszczonej, zastaje obrzydłą pannę: ta mu rękę ofiaruje, gdy pobije nieprzyjaciół i przez całe siedem roków nie pokocha innej panny.

Zbladł królewicz na te słowa, z obrzydzeniem wzrok odwraca od potwora, a nie panny, i co rychlej przez wiele drzwi ucieka z onego zamku.

Ledwie powrócił do ojca, aż tu wojnę ogłoszono: stary król swemu synowi rozkazuje, by hetmanił. Młody królewicz posłuszny, z rycerstwem wyrusza w pole i w jednej bitwie morderezy rozbił wszystkich nieprzyjaciół.

Siedem lat się prędko kończy: znów królewicz jedzie w knieję, znowu widzi tę jabłonkę i owoce na niej złote. Przypomina sobie pannę; ciekawością przeto zdjęty, idzie w zamek. Co za zmiana! Zamiast murów, wszystko kryształ; a za jedną ścianą szklaną dostrzega śliczną dziewczę, zamiast dawnego potwora. Spostrzegła zaklętą panną dorodnego królewicza; pada przed nim na kolana i zaklina w rzewnej proźbie, by na krok się nie posunął; cały bowiem szklany zamek otacza brzęcząca struna; kto się jej dotknie, z jej odgłosem wnet poruszy stado biesów.

Więc rozkochany królewicz, patrząc chciwemi oczyma na dziewczę cudnych wdzięków, w tył się cofa zadumany i rozmyśla nad sposobem, jak wydobyć piękne dziewczę. Woła swego ban-

durzystę, każe mu się skryć za ścianą i za danym przezeń znakiem, by uderzył w wszystkie struny. Po chwili zabrzękły struny; wnet się zatrzęsł zamek cały i czereda biesów wszystkich poskoczyła ku tej stronie, gdzie brzęk struny się rozlegał. A gdy biedny bandurzysta krzyczał płakał nadaremnie, dręczony od czarnych biesów królewicz jednym poskokiem wpadł w komnatę kryształową i uwolnił piękną pannę. Wtedy z wysokiej jabłoni zniknęły złote owoce i on siwy gołabczek zniknął zaraz z tego zamku. W tym gołąbku dusza ojca zaklętej królowej, który zmarł przed czasem, do niebiesiech uleciała.

Na swój zamek wiedzie piękną; stary król, płacząc z radości że doczekał się synowej, a do tego urodziwej, sute wesele wyprawił: sprosił gości i nim umarł, rozweselał stare lata równie pięknymi jak matka wnuczęty.

Wilkołaki.

Na kwiecistym pagórku nad brzegami Wisły, brzmiała huczna kapela; a drużyna rzeźwych parobków i dziewczek skakała radośnie. Pivo i wódka stały w beczkach, z których się posila i wieśniacy zgromadzeni na uroczystość rolniczą dożynek. W pośród wesołej zabawy krzyk przerażliwy zagłuszył i brzmienia muzyki i śpiewki radosne. Przerwano taniec; poskoczono, zkąd krzyki powstały i ujrzano z przestraczem jak wilkołak unosił w paszczy najpiękniejszą dziewczę



Spostrzegła zaklęta panna dorodnego królewicza. (Zoo. str. 122).

z siola. Rzuciła się za nim odważna młodzież i wkrótce dognała; ale potwór zajadły, rzuciwszy pod nogi zdobycz, którą unosił, stanął z wściekłością do obrony. Przestraszeni i bezbronni, nie wiedzieli, co czynić; niektórzy pobiegli po strzelby, reszta ustąpiwszy na bok, czekała na wysłanych. Skoro to spostrzegł wilkolak, porwał rzuconą na ziemię dziewczynę i w największym pędzie uciekł do lasu.

Lat pięćdziesiąt upłynęło od tej doby, gdy na tymże pagórku, bawiąc się młodzież wesoło, spostrzegła siwizną okrytego starca. Zaproszony do zabawy, usiadł w milczeniu i wychylił ze smutkiem kubek wódki, który mu podano. Równy mu prawie wiekiem jeden z wiejskich gospodarzy, przystąpiwszy do nieznajomego powitał i zaczął rozmawiać. Starzec długi czas mając w niego wlepione oczy, wreszcie zawołał ze łzami: »Ty żeś to, mój Janie?

A gospodarz poznał od razu starszego brata, co zginał przed pięćdziesiąt laty. Zdziwieni wieśniacy otoczyli starca, który im opowiadał, jak zamieniony przez czarownicę w wilka, dziewczynę ukochaną porwał z tegoż samego pagórka, gdy obchodzono uroczystość dożynek: jak żył w lasach rok cały, jak później mu z żalem umarła.

— »Odtąd« mówił dalej, »wściekły i zażarty, rzucałem się na wszystkich; pożerałem, a tej krwi dotąd ślady niczem zatrzeć nie mogłem: tu pokazał zbroczone ręce. Lat już cztery, jak się błąkam przywrócony do postaci ludzkiej: chciałem was jeszcze raz zobaczyć i te dymiące chaty,

w których się urodziłem i wychowałem: potem — o! uciekajcie znowu, mam być wilkołakiem.

Ledwie tych słów domówił, gdy zmieniony w wilka, poskoczył, zawył przeraźliwie i znikł na zawsze w pobliskim lesie.

II.

Czarownica rozkochawszy się w młodym wieśniaku, daremnie usiłowała wszelkimi sposobami pozyskać sobie jego wzajemność. Rozgniewana nareszcie tą wzgardą namiętnej niewiasty, przysięgła srogą zemstę.

Spotkawszy raz dorodnego parobka, zapowiedziała mu: »Iż jak tylko do lasu po drzewo pojedzie, za pierwszym uderzeniem siekierą, przemieni go w wilkołaka.«

Mniej na to bacznego wieśniaka, zaprzęglwszy woły do wozu, pojechał do lasu; ale za ledwie wymierzył cios silny, siekiera wypadła mu z ręki. Przestraszony tem zdarzeniem, spojrzy i widzi przeleżkę, że ręce jego zmieniły się w wilcze łapy. Bezprzymyślny zaczął biegać po lesie; a natrafiwszy na źródło, przejrzał się i spostrzegł, że cały zamienił się w wilka: widać było jeszcze gdzieś niegdyś ostatki sukmany, bo przerażenie nie tak rychło wszystkie ślady zatarło.

Pospiesza do swoich wołów; ale te przestraszone, uciekają od pana. — Chciał je zatrzymać znając im głos; ale zamiast wydania głosu ludzkiego, zawył przeraźliwie. Widząc tedy z żalem, że się sprawdziły pogroźki pogardzonej cza-



Rzuciła się za nim oowazna młodzież. Zob, str. 125).

rownicy; nie mogąc pomimo przemiany w wilka, oderwać się od strzechy rodzinnej, błakał się po okolicy. Nadaremnie usiłował przyzwyczaić się do pokarmu z surowego mięsa: nie mógł tego przemódz na sobie, a tem bardziej nie mógł żywić się ludzkim ciałem. Dla tego zaczął straszyc pasterzy i żniwiarzy, którym wyjadał chleb, mleko i inne potrawy.

Kilka lat tak przepędziwszy, uczuł nadzwyczajny pociąg do snu; położył się więc na murawie i zasnął. Ale jakież było jego zadziwienie, kiedy po obudzeniu ujrzał, że napowrót człowiekiem został.

Uniesiony szczęściem, niepomny na stan swój, gdyż po takim odczarowaniu i przemianie wilków na ludzi, osoby mają pozostać bez ubrania — na skrzydłach niemal, leciał do rodzinnej chaty.

Ale zawsze jak to dobrze, mówią, radość nie jest trwałą; doznał tego i on parobczak na sobie. Przybiegł do domu; lecz rodzice już pomarli: Kasieńka, którą nadewszystko kochał, poszła za innego i była już matką czworga dzieci; a z przyjaciół młodości, jedni pomumierali, drudzy się rozeszli.

Zniósł to odważnie biedny wieśniak, lubo z zakrwawionem sercem: pracował, uprawiając w pocie czoła kawałek ziemi; a gdy sąsiedzi w niedzielę zgromadzili się do karczmy na zabawę, opowiadał im nieraz swoje przygody i nieszcześcia, jakich doznał, z przyczyny pogardzonej czarownicy.



A wierny giermek Trojana, z kopyta za nim pospiesza.

III.

Gospodarz sielski był przez lat siedm wilkołakiem; a odpokutowawszy przeznaczone od czarownicy lata, przemieniony został napowrót w człowieka. Cały dzień bez odzieży i pokarmu spieszył do domu, w którym zostawił żonę i kilkoro dzieci. Już w późny wieczór przybywszy do swojej chaty, zaczął pukać do drzwi zamkniętych.

— »Kto tam?« zapytano z chaty: a gospodarz poznał głos swojej żony.

— »To ja! twój mąż! otwórzcie prędzej!«

— »Wszelki duch Pana Boga chwali, mężu! wstawajcie«, zawołała wystraszona niewiasta; a gospodarz ujrzał przed sobą swego dawniejszego parobka, który poślubiwszy jego żonę i objąwszy gospodarstwo, wybiegł uzbrojony widłami, odpędzać od drzwi prawego właściciela domu. Oburzony gospodarz niewiarą małżonki, wykrzyknął z boleścią:

— »O! czemuż nie jestem wilkołakiem, aże bym ukarał wiarołomną i nie czuł mojego nieszczęścia!«

Stało się zadosyć jego życzeniom, napowrót przemieniony w wilka, z wściekłością rzucił się na żonę, obalił ją z dziecięciem z drugiego małżeństwa, które sama karmiła; a pożarliszy niemowlę, dokonał zemsty na matce, pokaleczywszy ją śmiertelnie.

Na jęki nieszczęśliwej niewiasty, zbiegli się wieśniacy i tłumnie na dzikiego uderzyli zwierza.

Niedługo się opierać potrafił; padł pod lieznemi razami, a gdy wieśniacy wydawali okrzyk radości z odniesionego zwycięstwa; gdy przy świetle rozpalonego łuczywa zaczęli przyglądać się zwierzęciu, spostrzegli ze wstrętem i przestachem, że zamiast wilka leżał zabity gospodarz, co zniknął przed siedmią laty i o którym wieść biegała, że był wilkołakiem. Wszelki ratunek był już nadaremny; i gdy użalano się nad tak smutnym wypadkiem, wieśniaczka z zadanych ran przez tego wilkołaka wkrótce potem skoła.

Trojan.

I.

»Podaj mi konia! prędeż mi podaj, już słońce oddawna zaszło. Gwiazdy już świecą i księżyc świeci, a rosa błyszczy na smugach. Wiatr ciepły ustał, a choć powiewa, nie pali żarem, lecz chłodzi. Więc dalej na koń! bo każda chwila, jest chwilą dla mnie straconą. Z bijącą pierśią, oddawna czeka czarnobrewa krasawica. Lotem poświstu, lotem głąbim na rączym koniu poskoczę; bo noc już krótka, dzień tak długi, a w nocy tylko żyć mogę.«

Tak wołał Trojan, król mężnych Serbów, nie znosząc promieni słońca: nie znał blasku, a dnia nigdy białego w życiu nie widział. Albowiem gdyby choć jeden promień zaświecił głowie

Trojana, rozplynałby się jak chmura deszczem, zwłokami jego byłaby rosa.

II.

Posłuszny giermek wywodzi konia, Trojan nań skacze i leci: a wierny giermek Trojana, z kopyta za nim pospiesza. (*) (Zob. obraz kolorowy.)

»Chłodno i wietrzno! to doba dla mnie!« zawołał Trojan radosny: »gwiazdy choć świecą, księżyc choć świeci, bladym promieniem nie grzeją. Rosa kroplista, jak biały korał, okrywa łąki zielone, a w każdej kropli oglądam żywą twarz gwiazdy i twarz księżycy. Jakie milczenie i jaka cisza! nie nie przerwie zadumania; puhacz zaledwo z ciemnego lasu, smętnym się głosem odezwie.«

— »O! panie mój«, odrzekł na to sługa; »wolę ja słońce, dzień biały, choć żarem pali, promieniem grzeje, miłszyć jak nocy cienie, dzień biały. Bo w cieniu nocy nie nie uwidzę, żadnej barwy nie rozróżnię: czy to bosiljak czyli to róża, barwinek albo fioletek, ciemnota nocy za jedno stawia, napróżno szukać oczyma. Oto w tej dobie wszystko zasypia; ptak i ludzie i zwierzęta; czasami jedno z wioski nad drogą z wieśniaka chaty promień zabłyśnie; czasami tylko stróż wierny domu, poczuwszy wilka albo cudzego, szczekaniem echo rozbudzi. Jak morza fale, kłusiste zboże, ruszone wiatru powiewem, chwieje się, kłania, lecz w ciszy nocnej, żadnego

ptaka nie słyhać. Bo śpiewak wiosny, szary skowronek, zbudzony promieniem słońca, bijąc skrzydełki nad miedzą wzlata i wita z słońcem dzień biały; w nocy jak każdy człowiek zasypia, by pokrzepić swoje siły; a my, o panie! wśród nocnych cieni, nocnego zmroku, lecimy!«

III.

Zdala zajaśniał dworzec z modrzewia, bo w każdym oknie światło błyskało: tam na Trojaną czekała luba, by przyjąć go w swoje objęcia. Trojan podwoił razy na konia i biegał polotem strzały, przebiega chyżo i most lipowy, chyżo podwórzec kamienny.

Staął przed gankiem, zeskoczył z konia, biegnie w komnaty znajome.

Stał długo giermek trzymając konie, sen mu zakleja powieki; otrząsł się ze snu i rzekł do siebie:

— »O! już kury dawno pieją, trzeba zbudzić mego pana; droga nie mała jeszcze do zamku, a nie długo będzie świtać.«

Podchodzi pod drzwi komnaty i zylastą bije dłonią. — »Zbudź się panie! zbudź się, panie! bo nie długo zacznie świtać; dosiadajmy prędzej koni, powracajmy już do zamku.«

— »Snu mi sługo, nie przerywaj!« Trojan gniewny się odzywa; »wiem ja lepiej kiedy świta, kiedy hasło śmierci mojej — słońce zabłyśnie promieniem. Pilnuj konie, czekaj na mnie!«

Posłuszny giermek nie odrzekł słowa i znowu długi czas czekał. Spojrzy przed siebie — świtanie zorzy z przestachem widzi: więc biegnie, zylastą dłonią silniej uderza w podwoje ciemnej komnaty.

— »Zbudź się, o panie! woła z rozpaczą, widziałem zorzy świtanie. Jeśli na chwilę zostaniesz jeszcze, promień słońca cię zabije.«

— »Poczekaj chwilę, zaraz pobiegnę, byle na konia dość czasu: nim po zorzy błysnie słońce, będę w murach swego zamku.«

Posłuszny giermek czeka troskliwie; nareszcie po długim staniu, wybiega Trojan, skacze na konia i biegnie polotem strzały.

IV.

Ledwo podwórzec kamienny przebiegł, na pół lipowego mostu, aż widzi światło z za góry jasne.

— »Panie! to słońce, wykrzyknął giermek.«

— »Więc chwila śmierci zbyt bliska! z goryczą odrzeli Trojan. »Zsiędę z rumaka na chłodną ziemię, przycisnę nieszczęsne ciało: okryj mię płaszczem, a o zachodzie przybywaj z biegunem po mnie.«

I skacze z konia drżący i słaby pada na ziemię wilgotną; a wierny giermek swojego pana kryje troskliwie pod grubym płaszczem.

Sam z rumakami spieszy do zamku, uderza w żelazną bramę. — »Otwórz! odźwierny, otwórz co prędzej!« woła drżącym głosem sługa. Spadł

most zwodzony, wpada do zamku i czeladź wszelką zwołuje. — »Gdzie pan? gdzie Trojan? pytają wszyscy: on ze łzami konia wskazał. Pan na polu rozciągniony na wilgotnej ziemi leży, skryty pod płaszcz, o zachodzie mam po niego spieszyć z koniem.«

V.

Był dzień skwarny, wiatr nie powiewał, słońce piekło jak ognisko. Pod płaszczem stulony Trojan, drżąc z gorąca i bojaźni, poprzysięgał sobie w duchu, że jeżeli wyjdzie cały, już nie będzie czekał zorzy.

Szli pasterze pędząc trzody i nadeszli na Trojana. Patrzą, widzą że płaszcz leży, więc podnoszą; widzą człeka, nagle cały płaszcz zrzućili. Trojan krzyczy i zaklina. »Zakryj płaszczem mię, człowiecze: nie dopuszczaj ognia, słońca!«

Próżno błagał i zaklinał: słońce świeci, a promienie prosto w twarz Trojana biją. Uciekł nagle, bo już oczy w dwie się krople rozplynęły; taje głowa, szyja, piersi, w krótkiej dobie całe ciało, jakby w łzy się zamieniło. A pamiątka zwłok Trojana, w kroplach rosy chwilę błyszczy; skwarny promień żaru słońca i te krople prędko suszy.

VI.

O zachodzie wierny sługa z dworzanami zamku spieszy; nie zastaje już Trojana. Widzi

tylko, że płaszcz leży; ręce łamie i zawodzi. (*) Próżne łzy twe, próżne żale; one pana nie obudzą.

Z Trojana zamku gruzy zostały, a w komnacie jego ciemnej, kędy nigdy promień słońca nie zajaśniał, nie zaświecił: dziś jaskółczym gniazdom świeci i wilgotne suszy ściany!

Przytoczyliśmy to podanie Serbów na dowód, że nie brakuje tego rodzaju powieści i w innych pokoleniach wielkiego szczepu Słowian. Trojan w mgłę wieków tak odbija, jak nasze Waligóry i Madeje.

Z wielkiej liczby klechdów starożytnych, kronikarze jedną nam przechowali ze Słowiańskich czasów. Słuchajmy powieści, którą nam Baszko, i zasłużony heraldyk Bartosz Paprocki zgodnie opowiadają. Zapomniał już o niej dzisiaj lud; a jednakże dawniej powszechnie w okolicach Tyńca i Wiślicy znaną była; przytoczyć ją więc muszę jako ważny i ciekawy pomnik tej gałęzi literatury.

Wdali Walgerz, albo Walter, hrabia na Tyńcu i pan zamku Tynieckiego, bawiąc się w postronnych krainach, dla przejrzenia spraw rycerskich, zatrzymał się na dworze króla francuzkiego. Mąż urodziwy, odwagi i zręczności niepośledniej,

(*) Zawodzić, po serbsku: tuziti, jest to płakać straty umarłego. Dotychczas w Serbii matka za synem, siostra za bratem, przez trzy lata zawodzą, w pole wychodząc.

w gonitwach i turniejach pierwszą nagrodę odbierał i oczy wszystkich zwrócił na siebie, szczególnie córki królewskiej imieniem Helgundy. Dla niej przyjął urząd podczaszego; a gdy misy stawiał na stole, uważał, z jakim zajęciem wpatrywała się w jego oblicze, jak oczyma ściagała każde poruszenie dorodnego dworzanina.

Był na tymże dworze Arinaldus, królewicz niemiecki. Ten rozkochany w Helgundzie, jakkolwiek wzgardy doznawał, ciągle gorzał namiętną miłością. Walgerz dla ujęcia sobie więcej nadobnej królewnej, przekupiwszy stróża zamkowe, codziennie podchodził pod jej okna i głosem miłym i dźwięcznym śpiewał dумы smutne.

Helgunda zbudzona, zachwycona śpiewem niewidomego trubadura, przywołać rozkazała strażników zamku, ażeby jej wyjawili nocnego śpiewaka. Gdy ci przekupieni, nie chcieli wyznać prawdy, tłómacząc się, że z zakrytem obliczem przychodzi: królowna śmiercią im zagroziwszy, zmusiła do wydania Walgerza. »Poczęła go dopiero zapalczywiej miłować, a potem i do siebie na pokój wzywać. Tam postanowiła, widząc przeszkody od ojca, uciec z Walgerzem do Polski.

Ale zazdrosny Arinald wywiedział się tajemnicy, spieszy do swego królestwa, przez które musiał Walgerz powracać i na Renie zakazawszy przewoźnikom, aby mniej nie brali, jak grzywnę złota, starali się przytem uciekającego zatrzymać.

Walgerz z Helgundą wkrótce nadbiega, rozkazuje surowo przewoźnikom, by go co prędzej

na drugi brzeg wysadzili; a gdy ci zatrwożeni, posłuszni Walgerzowi, zażądali zapłaty, ten rzuca złoto, wpław Ren przebywa i ku Polsce spieszy.

Arinald dowiaduje się, że Walgierz już Ren przebył, uzbraja się co prędzej, dosiada bieguna i dopędza przeciwnika.

— »Stój zdrajco!« wołał nań z daleka: przewozu nie zapłaciłeś i królewską córęś ukradł!«

— »Kłamiesz!« odwróciwszy się Walgerz odpowiedział: »przewóz zapłaciłem, a córa królewska dobrowolnie ze mną jedzie.

Popędliwy Arinald wzywa go na pojedynek, z warunkiem, że kto zostanie zwycięzcą, zostanie panem królewnej i łupu przeciwnika.

Rozpoczyna się bójka. Helgunda, co stała za Walgerzem, życząc mu zwycięztwa, była bodźcem Arinaldowi, stojąc mu na oczach. Niemiec zagrzewany jej widokiem, parł silnie Walgerza tak, że ten cofać się przymuszony, ujrzał przed sobą kochankę, dla której bój zacięty toczył. Widok jej zapalił go mocniej; uderza, obala wroga na ziemię i bez litości zabija. Zdiera zbroje a ze zwyciężkim łupem i królowną powraca do zamku swojego, Tyńca.

Ale zaledwie przybył, poddani żałośliwie się uskarżali na Wisława pięknego, książęcia Wiślickiego, z rodu Popiela jeszcze, o ciężkie krzywdy, jakich doznawać musieli. Walgerz gdy napróżno żądał sprawiedliwości, rozgniewany zbiera swoje rycerstwo i w jednej bitwie rozbiwszy Wisława chorągwie, samego jak niewolnika okuć rozkazał i do wieży wsadził na zamku Tynieckim

Wkrótce na rozkaz króla, Walgerz pospieszył stanąć ze swoim zastępem do obrony granic. Helgunda rozpaczała przy odjeździe męża. Gdy zajęty wyprawą rycerską długo nie przybywał, Helgunda opływając we wszelkie niedostatki, poczęła tęsknić i zwierzyła się wiernej służebnicy z uskarżeniem: »żem ani dziewczka, ani żona, ani też wdowa.«

Zrozumiała przywiązana, a przebiegła służka tęsknięc swojej pani; radzi przeto, że w zamku jest dorodny więzień, co ją potrafi ukoić.

Wprowadzono pięknego Wisława, rozkutego z więzów, do komnaty Helgundy: ta zapomniawszy poprzysięgłej wiary mężowi, nie tylko staje się występna, ale z więźniem do Wiślicy ucieka.

Po skończonej wyprawie wojennej, przybywa na Tyniec Walgerz, okryty sławą rycerską. Lecz zaledwie wjechał na podwórzec zamkowy, nie widząc Helgundy, co zwykle wybiegała za mury na powitanie męża, zapytuje służby, dworzan i czeladzi o powód i odbiera okropną wiadomość, że uciekła z Wisławem.

Uniesiony zemstą i rozpaczą, sam jeden, w tej samej zbroi okrytej kurzawą, spieszy do Wiślicy. Helgunda była samą, Wisław na łowy wyjechał. Chytra i zdradziecka niewiasta, wybiega przeciw Walgerza, a padając na kolana skarży Wisława, że ją przemocą uprowadził z Tyńca; zaklina, by się ukrył w skazanej komorze, a wyda mu Wisława, dla zaspokojenia słusznej krzywdy.

Usłuchał Walgerz, lecz zapóźno poznał zdradę wiarołomnej żony: napadnięty, przemocą okuty w kajdany. Wisław lękając się, by więzień nie uszedł, oddał go pod straż swojej siostry Ryngi.

Dla większej męczarni Walgerza, posadzono go na żelaznym wole, a obróż z szyi przybito do ściany. Tak skutki miał za więzienie komnatę, gdzie w pobliżu Wisław z Helgundą w oczach więźnia okazywali swoją miłość. Walgierz musiał patrzeć na wiarołomną żonę i okrutnego zwodziciela i wroga, lecz nic nie mówił, ponure zachowując milczenie.

Rynga mając dozór nad nim, szpetna aż do obrzydzenia, litując Walgerza męczarni, a więcej w nim rozkochana, obiecuje z więzów uwolnić z warunkiem, że ją pojmie za małżonkę, a życie uszanuje brata.

— »Przystaję i przyrzekam wszystko!« odrzekł Walgerz chciwy uwolnienia; »jeno rozkój mię z tych kajdan i podaj mój oręż niezłomny.«

Rynga otworzyła kłódki kajdan i miecz Walgerzowi oddała; wisiał on albowiem na osobnej ścianie. Walgerz już wolny, oręż za plecami ukrył, zachowując zwyczajną postać bolesną, milczącą ponurą.

Helgunda z Wisławem jak zwykle przyszli się pieścić na zwyczajnem miejscu. Walgierz pierwszy raz do nich się odezwał, przerwawszy uporne dotąd milczenie.

»Cóż rzekniecie, gdybym ja teraz nad wami pomścił krzywdy i cierpień moich?«

Helgunda podziwem i trwogą przejęta, dostrzegając, że oręż Walgerza nie wisi na ścianie, rzekła do kochanka:

— »Wisławie! ja się go lękam; patrz i miecza już nie ma Walgerza.«

Ale Wisław ufając wierności swojej siostry, odrzekł z pogardą, spoglądając na więźnia.

— »Gdybyś miał i sto mieczów, nie lękam się wcale, a nawet ci odpuszczę, gdybyś mię i zabił.«

Walgerz zrzuca kajdany — z wyniesionym mieczem staje nad łóżem: spuścił go z zamachem i wycisnął dwa jęgliwe westchnienia, konającej Helgundy i Wisława.

Pomściwszy się krzywdy swojej, z Ryngą na Tyniec powrócił, zabrawszy wszystkie skarby, które tak zręcznie Ryngą uwięzła i śmierć brata ukryła, że dworzanie i rycerze Wisława dopiero się o morderstwie dowiedzieli, kiedy Walgierz ze zbawczynią Ryngą w warownym już stanęli Tyńcu.

Zwłoki Helgundy pochowano w Wiślicy. Kronikarz Godzisław Baszko pisze, że w roku 1242 widział jeszcze na kamieniu grobowym twarz Helgundy wrytą. Bartosz Paprocki za dowód podaje, że Walgerz do rodziny Toporczyków należał, iż po wsiach, starodawnie, do Tyńca należących: »kiedy na gwałt wołają, tedy krzyczą: Starza! Starza! albo Stary-koń! a te rodziny z dawnego wieku są jednej z Toporczykami dzielnicy.«

Tatosz.*)

rewien król miał wielce piękną, a śmiałą córkę, która nie chciała nikomu oddać swej ręki, lubo wielu możnych panów i książąt starało się o nią.

Na mnogie naleganie swego ojca rzekła: »Ojcze! będę ci posłuszną, ale pod jednym warunkiem. Postawię na najwyższej wieży proporzec, miecz, a jabłko na srebrnym talerzu: kto złamą je dostanie i szczęśliwie na dół zniesie, temu oddam rękę i tego będę małżonką.«

Wiadomość o postanowieniu córy królewskiej wnet się szeroko oznajmiła: w krótkim przeto czasie mnóstwo panów, a rycerzy ze wszech stron zgromadziło się po dwakroć, lecz usiłowali daremnie.

W jednym szlacheckim rodzie było czterech braci: trzech odważnych i wysokiego ducha, czwarty niepozorny, a od braci »piecuchem« i »popielnikiem« zwany dla tego, że najwięcej przy piecu siedział, a rzadko gdzie wychodził. Ale miał on Tatoszyka konia, którego, kiedy potrzebował, na głos jego z pod mostu przybiegał.

Trzech braci jego na dzielnych koniach udali się także w ono miejsce, ażeby dobijać się

*) Tatosz u Słowaków, dziwotworny koń czarnej barwy: jemu podobny u Czechów Szencik, a u Serbów Szaracz.

o rękę królownej: piecuch po odejściu ich ubrawszy się nieco, poszedł ciekawy zobaczyć, ktoby to jabłko dostał. Gdy napróżno i po trzeci raz rycerze i panowie ubiegali się, chcąc zdobyć porzecz, miecz i jabłko, wystąpił on piecuch przebrany na nędznym swoim Tatoszu, którego inni jeźdźcy wyśmiewali i popychali. Na końcu, gdy nikt dostać nie mógł, on piecuch na Tatoszyku, co się w krasnego orła przemienił, wyleciał na wieżę, pochwycił porzecz jedną ręką, miecz z jabłkiem drugą i zniknął z oczu zdziwionych.

Król i jego córa wnet ogłosili, aby ten rycerz stanął przed niemi: gdy żaden nie stawał, kazali szukać w całej krainie i po wszystkich domach, gdzieby się to jabłko znalazło.

Wysłańcy po długim szukaniu, przyszli i do tego domu, gdzie czterech braci mieszkało, a szukając w ognisku piecucha i popiele, znaleźli jabłko. Zaraz więc wiedli tego rycerza, jako małżonka do księżniczki.

Po ożenieniu wyjawiał jej tajemnicę, o znajomości swojej z Tatoszem; a ona radując się tak dziwotwornemu koniowi, wnet poszła do wskazanego mostu, osiodłała Tatosza, skakała nim za jednym skokiem na Matrę, drugim na Fatrę, trzecim skokiem na Tatrę. (*)

(*) Tatra, Fatra i Matra, trzy góry najslawniejsze w Węgrzech i wspólnie stanowiące herb niejednej rodziny szlacheckiej.

Iskrzycki.

Pewien pan, w okolicach Tarnowa, potrzebował ekonoma. Jak raz zjawi się nieznajomy człowiek, powiada, że się zowie Iskrzycki i prosił, aby jemu ten obowiązek powierzono. Pan przystaje; przychodzi do umowy, później do zgody, наконец do kontraktu; już i kontrakt podpisany, już go pan wręcza nowo przyjętemu, kiedy z nienacka spostrzega, że Iskrzycki nie ludzkie ma pazury.

Zmieszał się obywatel; waha się jakąś chwilę, w końcu zrywa całą umowę i służbę Iskrzyckiemu wypowiada. Ale Iskrzycki ani da sobie mówić o odprawie; przysięga, że raz podpisawszy musi, mimowoli pana, dopełnić wszystkich jego warunków: z tem zapewnieniem wychodzi i ginie.

Odtąd nie pokazał się już nikomu; ale obrał sobie mieszkanie w piecu i ztamtąd wszystkie usługi najgorliwiej na każde zawołanie pełnił. Państwo bali się z początku: pomału tak przywykli do niewidomego sługi, tak byli pewni jego dobrych chęci, że wyjeżdżając z domu, oddawali mu dzieci w dozór.

Z tem wszystkiem samej pani swędziło gadanie sąsiadek, że w domu swoim djabła przechowuje; nastaje tedy na męża, aby na pewny czas przemienić mieszkanie. Mąż wypełnia wolę żony i bierze dzierżawę gdzieś za Wisłą: wyjeżdżają na nowe siedlisko, radzi, że z djabła

zażartowali. W drodze wypadło przebywać jakieś miejsce, tak złe, czy niebezpieczne, że pani krzyknęła ze strachu; aż tu za powozem dało się słyszeć:

«Nie bój się, pani! Iskrzycki z wami!»

Zdumieni państwo pomiarkowali, że nie było sposobu rozstania się z tak wiernym sługą; wrócili do domu i żyli z nim w dawnej zgodzie, póki termin kontraktu przeznaczony nie rozłączył ich na zawsze.

Dżuma.

Kiedy dżuma grasowała, całe wsie stały pustkami, koguty wszystkie ochryply i żaden nie zapiał nigdy: psy nawet, domowe stróże, zaszczeznąć nie mogą, lecz czują to widmo i zobaczają zdala. Wtedy warczą, rzucają się na nie: a dżuma drażnić je najwięcej lubi.

Spał parobek na wysokim brogu siana, a przy nim stała drabina. Noc miesięczna widna, cicha: nagle jakby niesiona z wiatrem, z daleka powstaje wrzawa, w której wyraźnie odróżnić można zajadłe warczenie psów i skowyczenie.

Powstał parobek na nogi i widzi z przestraszeniem, jak prosto pędzi wysoka niewieścia postać, cała w biele, z rozczochranym włosiem, a psy za nią. Ale na jej drodze stał długi i wysoki płot: wysoka niewiasta jednym sussem go przesada, na drabinę wskakuje; bezpieczna tem



Wysoka niewiasta na drabinę wskakuje.

Przypisy do Klechd.

Oczy uroczone.

O uroczych, urocznych oczach, często słyszeć można tak w Polsce, jako i na całej Rusi. Są baby po wsiach, które dochodzą, puszczaając węgle na wodę, czy choroba z uroku pochodzi i umieją takowy leczyć. W województwie podlaskiem, w osadach ruskich, w roku 1828, poznałem starca wielce wziętego, co umiał odczyniać urok, czyli uzdrawiać z choroby, urocznemi oczyma zadanej.

Naprzód nad słabym mruczał niewyraźne słowa; poczem dmuchał trzy razy od nóg do głowy, jakoby zdmuchiwał słabość. Z dalekich stron zbiegali się doń rusini i rusinki, znosili dary i pieniądze, a starzec przez to należał do najzamożniejszych gospodarzy.

Dotąd najpospoliciej oczy mocno wypukłe i zapadłe, w brzydkim obliczem, pochmurne, uroczemi lud nazywa.

Żaba.

Zupełnie niemal ta sama klechda jest znana powieścią gminną ludów, z tą główną odmianą, że nie w żabiej skórze, lecz w małpiej zaklęta dorodna królewna. Lecz i nas nieraz usłyszeć

można tę samą klechdę, w której także nie o żabie, lecz o małpie opowiadają: spisałem ją tak, jako bywa pospolitsza.

— Był król mający siedmiu synów; a ponieważ wszyscy doszli do wieku męskiego, rozmyślał nad tem, jakby ich przyzwoicie pożenić. Ale że nie chciał między bracią wzniecać niezgody, gdyby jednemu nad drugich dawał pierwszeństwo, zasięgnął przeto rady swojego Wezyra, chcąc się od niego dowiedzieć, jakby najroztropniej postąpić, ażeby każdy z synów zadowolony był zrobionym dlań wyborem. Wezyr, co był rozsądnym człowiekiem i w tak łaskotliwą, a oraz niewdzięczną sprawę bynajmniej mieszać się nie chciał, pomyślał chwilę i wyrzekł — O! królu! jeżeli tę sprawę chcesz szczęśliwie zakończyć, każ festyn powszechny ogłosić; wyjedź z pałacu twego w pobliską dolinę na czele szlachty, królewiczów, synów swoich i liczne go wojska; objaw zamiar zgromadzonemu ludowi przez usta swojego sługi; potem każ przynieść siedm łuków i strzał siedem, niech siedmiu królewiczów każdy po jednej strzale wybierze i niech te strzały w różne strony z cięciw wypuszczą; a dokąd która polecą, tam niech królewicze szukają, a każdy znajdzie żonę, jaka mu przynależy. Podobała się królowi ta rada i wnet zgromadził liczne wojska, wsiadł na swego słonia i wyruszył ku pobliskiej dolinie, na czele szlachty, znakomitych urzędników i państwa, a za nim wyruszyło całe miasto i rozłożono się z mnóstwem koni, wielbłądów i bawołów.

W dniu naznaczonym, gdy lud cały zgromadzony, donośnym głosem oznajmił wezyr zamiar króla: a skoro królewicze zezwolili i żadaną od nich złożyli przysięgę, że wszelkim poddadzą się skutkom; przyniesiono siedem łuków i siedem strzał, a bracia uczynili wybór. Wypuścili strzały a każda w inną poleciała stronę. Jedna upadła przed domem wezyra, który miał piękną córę; pięć poleciało ku pałacom innych znakomitych dworzan; tylko strzała najmłodszego brata, utkwiła w drzewie tamaryndy.

Wielkie było pomieszanie z tego zdarzenia. Król naradzał się znowu ze swoim wezyrem; lecz roztropny doradca zawsze baczny na to, by wszelką odpowiedzialność od siebie oddalić, radził królowi, zapytać o to wieszczków i świętych mężów dworu, co najlepiej będą mogli rozstrzygnąć, jak dalece strzał tak nieszczęśliwy obowiązywał królewicza.

Na rozkaz króla zgromadzili się przeto przed oblicze monarchy w mnogiej liczbie pobożni i uczeni mężowie. Rozważywszy rzecz dokładnie, oświadczyli po odbytej naradzie, że królewicz powinien wypełnić wzięte na siebie zobowiązanie, i że lepiej, iż będzie poślubiony z drzewem, jak gdyby miał nie dotrzymać słowa i stać się krzywoprzysięzcą, nie chcąc przyjąć za małżonkę strzałą wskazaną mu istotę, z którą uważać się powinien tak prawnie poślubionym, jak inni bracia jego z żywymi oblubienicami, które im los szczęśliwszy przeznaczył.

Król uznał sprawiedliwość takowego wyro-

ku, a lubo mocno ubolewał nad tem, że syn najukochańszy drzewo poślubić musi, zalecił jednakże, ażeby onej nieżywej oblubienicy te same zaszczyty czynione były, co i córkom znakomitych dworzan, które do rodziny królewskiej przyjęto. Roztropny wezyr pocieszał go tymczasem tą uwagą, że to jest czeza formalność, a po odbytych obrzędach wolno będzie królewiczowi wybrać przyzwoitszą towarzyszkę życia. Król uspokoił się tem niepomału i z ulżonem sercem czynił przygotowania do wesela.

Nadszedł dzień, w którym dary ślubne miano wręczyć córce wezyra, tudzież pięciu innym dziewczom i z równie uroczystą wystawnością położono pod drzewo taką samą ilość koszą z darami ślubnymi wraz z umową ślubną, przepysznie na pergaminie spisaną. Przy tej sposobności dostrzegli oddawcy podarunków, że drzewo to było najpiękniejszego rodzaju i widzieli, jak z pod rosochatych gałęzi strumień czysty wytryskał. Gdy nazajutrz znowu pod drzewo przyszli, ujrzeli miasto położonych wczoraj koszą, inne daleko piękniejsze, napelnione najprzepyszniejszymi, jakie widziano kiedy, szalami, sztukami złotej i srebrnej lamy, daleko kosztowniejszymi, niż materye Kaszyhu, wreszcie diamentami najczystszej wody i owocami, pięknością i zapachem o wiele krajowe przewyższającami. Oprócz tego na osobnem miejscu znaleziono list, pisany pięknymi literami, w którym wyrażono, że drzewo przyjmuje dary królewicza, oraz zawiadamia go, ażeby w oznaczonym czasie stawił

się z przyzwoitym orszakem dla odprowadzenia oblubienicy w miejsce jej przyszłej siedziby.

To niezwykle wesele wielkie sprawiło wrażenie i wszędzie mówiono o nim. Słyszając o strumieniu pod drzewem tamaryndy, nikt nie wątpił, że to było siedlisko czarownicy; ale nikt nie umiał powiedzieć, co to była za czarownica i jaką oblubienicę przeznaczyła królewiczowi.

Nareszcie zbliżył się dzień wesela. Pan młody dosiadł rumaka i na czele swego orszaku pojechał do drzewa tamaryndy. Zastał tam również świetną drużynę, czekającą nań z jeźdźców i mnóstwa palankinów, okrytych szkarłatnymi kobiercami, a które haftami złotymi bogato ozdobione i na żerdziach jasnych kolorów niesione, w promieniach słońca jak brylanty błyszczały. Wszystkie te palankiny były gęsto ściśnięte i najmniejszego nie zostawiały otworu, tak, że nie można było ani oblubienicy, ani jej kobiet obaczyć.

Królewicz jechał obok najpiękniejszego palankinu, usiłując złożyć wszelkimi sposobami uszanowanie nieznajomej dziewczicy, która przyjęła jego zaloty. Lecz gdy tak jechał w marzeniach o przyszłym szczęściu pogrążony, nie dostrzegł z początku, że orszak zboczył z drogi, prowadzącej do pałacu, który mu ojciec dla niego i oblubienicy przeznaczył. Co większa, ujrzawszy się w okolicy całkiem nieznajomej i wkrótce przybyli do wysokiego muru, opasującego niezmierną przestrzeń. Orszak zatrzymał się przed kamienną bramą, gdzie poważny starzec prosił królewicza, ażeby rozpuścił drużynę swoją; gdyż

dwór zamejnej z nim dziewicy był dosyć dla nich obojga dostatecznym. Życzenie tajemniczej władczyni jego serca było prawem dla czulego królewicza; rozpuścił zatem ludzi swoich i przyłączył się do obcego orszaku. Prowadzono go więc przez trzy lub cztery obszerne dziedzińce, których regularne czworoboki rzędami słupów otoczone były, ozdobne cudnemi płaskorzeźbami, wiodły do pomieszek najznakomitszych urzędników dworu. Dostał się nareszcie do ogrodu, pełnego osoblwszych drzew i kwiatów, a w nim ptaetwo bujało najrzadszych rodzajów.

W pośród czarodziejskiego ogrodu, wznosił się marmurowy pałac, tak przepysznej budowy, że wszystko przewyższał, co dotąd widziało oko królewicza. Wszedłszy doń, ujrzał mnóstwo kobierców, złotych i srebrnych naczyń, zwierciadeł; a komnaty napelnione były woniami i mieściły łaźnie wyłożone najprzedniejszą porcelaną. Młody małżonek ulotnym jeno wzrokiem rzucił na te wszystkie przepychy i przez komnaty, bogactwy jaśniejące, których szereg długo się ciągnął, spieszył z niecierpliwością jak najrychlej stanąć w podwojach małżonki swojej. Ale stanął jakby piorunem rażony, ujrzawszy, że to była — małpa.

Zanadto jednak posiadał wykształcenia z dobrem sercem, ażeby w obec wszystkich okazał okropny zawód: owszem zrobił twarz zupełnie wesołą i z uprzejmością największą składał małżonce swojej uszanowanie. Małpa odpowiadała na jego grzeczność wymownie i okazała tyle

dowcipu i żywości w rozmowie, że królewicz wiele ze wstrętu utracił, a wkrótce zapomniał, iż rozmawiał z brzydkim zwierzem i tego rodzaju, którego szczególnie nie lubił.

Dostrzegł oraz, że dwór cały składał się z samych małp; w duchu więc cieszył się niepomalu, że rozpuścił swój orszak.

Napady smutku zasępiały chwilami czoło młodego małżonka; lecz te rozpędzała wkrótce małpy wesołość i przyjemna rozmowa. Grała na kilku instrumentach, śpiewała precudnie. Pojednany z losem królewicz, tę jedynie czuł jeszcze troskę, jakby ukryć przed rodziną nieszczęśliwą postać swojej małżonki. Dla tego do dworu ojca przybywał zawsze z obliczem wesołem i był ostróżny w mowie, aby nie wydał własnej tajemnicy.

Królewicze, bracia jego często wybadywani przez małżonki swoje o niewidzialną bratową, nie mogli ciekawości ich zaspokoić. Ginęły więc z niecierpliwości docieczenia tajemnicy i wszelkich poruszały sprężyn, by ujrzeć tę dziwną osobę. Wszystkie atoli usiłowania ich były nadaremne; bo nie przyjmowała żadnych odwiedzin i sama nie odwiedzała nikogo. Brały się zatem na różne jakie wymyśleć mogły, sposoby. Stare kobiety jeszcze ciekawsze i natarczywsze jak one same, pod różnemi pozorami posyłane były od nich do pałacu; lecz mimo wszelkich podstępów, nie znalazły przyjęcia. Przejeżdżający kupcy, kuglarze, wróżbitowie i śpiewacy, podobnie odprawiani byli od bramy, a nawet ludzie, co przypadkiem

koło samej bramy zasłabli, żadnej nie doznawali pomocy i musieli wedle możliwości sami się krzepić; gdyż ani spojrzano na ich, chociażby najgłośniejsze, cierpienia

Królowne wyczerpawszy tym sposobem nadaremnie swój dowcip, wpadły nareszcie jeszcze na myśl jedną; a lubo niespodziewały się zupełnie pomyślnego skutku, miały jednak nadzieję, że się pomszczą za te wszystkie klęski, jakie dowcip ich poniósł.

Synowe namówiły króla teścia swojego, ażeby dla nich wyprawił świetną ucztę, i były ciekawe, pod jakim pozorem która z zaproszonych gościń wymówi się z niebytności swojej. Najmłodszy królewicz zmiarkował zaraz, że to była nań łapka, i że go w kłopot wprowadzić chciano; a że nie wiedział, jakby zniweczyć złośliwy zamiar bratowych, popadł przeto w ponurą trwogę.

Zmiana, zaszła w umyśle królewicza, nie mogła ujść baczności uważnej jego małżonki; lecz na zapytanie jej niemógł dać innej odpowiedzi, jak tylko, że go to mocno boli, iż będąc w przymiotach duszy tak dalece wyższą od małżonek jego braci, niemoże jednak pokazać się bez wystawienia na ich szyderstwa i pogardę. Przyjemna małpeczka, dotknięta smutkiem małżonka, zatopiona chwilę w głębokiem dumaniu, nagle w oczach zdumionego królewicza zrzuciła skórę małpią; i odurzonym jego oczom ukazała się w postaci najpiękniejszej kobiety, o jakiej pomyśleć tylko można było, i w przepysznym i bogatym ubiorze.

— »Mojej małpiej maski nigdy przed tem nie-

z rzucałam, bo nie mogę tego czynić bez wielkiego niebezpieczeństwa. Mimo tej potwornej skóry, żyliśmy z sobą szczęśliwie, a ja niepotrzebowałam wystawiać się na niebezpieczeństwo dla samej powierzchowności, w oczach rozsądnego człowieka tak mało wartości mającej. Weź tę skórę małpią, którą niechętnie składam, i chowaj ją troskliwie w mojej niebytności: z jej stratą popadlibyśmy oboje w wielką nędzę i niemogę ci dosyć zalecać, ażebyś jej ani chwili z oka nie spuszczał.»

Wyrzekłszy te słowa, odeszła, za nim królewicz ochłonął z rozkosznego zadziwienia, w jakowe wprowadziła go ta nagła przemiana małżonki. Słowo po słowie powtarzał sobie napomnienia małżonki: lecz im więcej nad tem rozmyślał, tem bardziej się przekonywał, że nie jest to dlań rzeczą zupełnie obojętną, mieć żonę pod postacią ładnej kobiety, czy brzydkiej małpy: a ponieważ myśl ta była mu nieznośną, że nadobna jej postać znowu do szkaradnego przebrania powróci, mimo zapowiedzianego niebezpieczeństwa, pewny, że małżonce swojej przeszkodzi do ukrywania powabów i wdzięków, postanowił spalić skórę, i już do tego czynił przygotowania.

Tymczasem małżonki sześciu królewiczów, zgromadzone w pałacu królewskim zdziwiły się nie mało, ujrawszy wchodzącą bratową, która z tak powabną godnością do uczyty biesiadnej zasiadła, że niewiedziały zaiste, nad czem się zastanawiać więcej, czy nad bogactwem jej stroju, czy nad jej prawie nadziemską pięknnością, czy wreszcie nad jej czarownem postępowaniem. Wszelako,

lubo na chwilę zmięszane i odurzone były, to mimowolne uczczenie wkrótce ustąpiło zawiści, porównywając się z tą królewską osobą, i widząc, jak niższemi były od swojej bratowej. Nim ta zawiść dojrzała, nagle z pośrodku uczty zrywa się z największym przerażeniem powabna gościni; a zawoławszy: »Palę się!« znika z przed zadziwionych oczu zgromadzenia.

Grzmot okropny zapowiedział królewiczowi, co się stało u stołu królewskiego. Zaledwo skórę małpią wrzucono w ogień, gdy buchnęła płomieniem i zgorzała: w tej chwili zapadł się pałac i ogród. Nic nie pozostało, tylko srebrna lutnia, którą ukochana małżonka niedawno z rąk wypuściła, dostrzegłszy, że dźwięki jej nie były w stanie rozpędzić smutku królewicza. Królewicz w czas ją jeszcze uchwycił, nimby wraz ze wszystkim, co go otaczało, rozplynęła się w powietrzu. Łańcuch z rubinów, na którym lutnia wisiała, zarzucił na szyję i pospieszył do pałacu ojca dowiedzieć się, co się stało z jego małżonką: powiedziano mu, że znikła, a powód ku temu łatwie odgadywał; lecz gdzie jej szukać, gdzie ją wysłedzić?

Odwiędził drzewo tamaryndy, lecz i tam nie dowiedział się o niczem. Drzewo stało jak dawniej, i u stóp jego jako dawniej szemrał strumień: ale na czułe zakłęcie królewicza żaden głos nie odpowiedział, i ani czarownica, ani małpa nieprzybywały uweselić strapionych ócz jego.

Nieszczęśliwy królewicz poddał się zupełnie rozpacz; nigdy małżonka nie wydawała mu się

tak przyjemną jak teraz, gdy już może na zawsze ją utracił. Owa wielka zmiana jego szczęścia niemniej także zasmucała: bo lubo w pierwszej chwili nie przyznawał się do tego, że żal po stracie małżonki bardziej jeszcze pomnożony został zniknięciem pałacu, i wszystkich niezmiernych kosztowności; smutek wszelako byłby go daleko prędzej ominął, gdyby mu czarownica przynajmniej zostawiła dla pocieszenia ogromne skarby swoje, i gdyby mógł żalować swoją wynurzać na poduszkach z aksamitu, i w salach złotem wyłożonych, ale nie na pustem polu, przy studni i koło drzewa tamaryndy.

Pełen chęci odzyskania straconego szczęścia, a może i wstydzając się w teraźniejszym poniżeniu stanie ukazać się u dworu, postanowił pójść w świat, i dopóty nie spocząć, dopóki nie odszuka tej żony, którą nieroztropnością swoją utracił. Przebył wiele krajów, i widział małą mnóstwo; ale żadna nie umiała go zawiadomić o straconym przedmiocie jego miłości. Znużony nareszcie długą i bezowocną pielgrzymką, udręczony na ciele i na duszy, umyślił odpocząć na chwilę. Cały świat znienawidziwszy, pragnął ustroni bezludnej, i w niej zamieszkał. Dom opuszczony stał samotnie na końcu ogrodu, co opasywał wiejskie pomieszkanie jednego kupca: a i o tym w gruzy rozsypanym niemal gmachu biegała pogłoska, że go złe duchy nawiedzały. Nikt więc nie śmiał zbliżać się do niego, i królewicz mógł tam bez przeszkody czas długi bawić.

Ponieważ smutek i myśli tęskne spać mu

nie dawały, najcichszy szelest zaraz go budził z marzenia. Jednej nocy, gdy śnił właśnie o swojej małpiej małżonce, obudzony był niezwykle poruszeniem w powietrzu. Spojrzy przez dach otwarty – lecz mgłę jeno dojrzał; w krótkie głośny szelest skrzydeł rzadkiego zapowadał gościa. Ukryty królewicz dojrzał go wreszcie: był to jenijusz trochę niezgrabnej postaci, a po wzdychaniach i jękach, jakie wydawał, łatwo się domyślił że był zakochany. Lubo sam także cierpiał też, samą chorobę, nie uznawał jednak za rzecz roztropną ukazywać się; został przeto w ukryciu i uważał niepostrzeżony, co smętny jego towarzysz czynić będzie. Jeniusz złożył najprzód skrzydła, uprawił na sobie ubior, a potem rzadkie owoce, które przyniósł, w połach szaty zgrabnie układał na srebrnym talerzu.

Królewicz poznał w nich zaraz owoce raju, jakie tak często jadał u małżonki swojej i która go zapewniła, że one rosną tylko w ogrodach rajskich. Gdy jenijusz zajęty był czyszczeniem talerza, wysunął się królewicz z ukrycia, schwyił mu kilka owoców, i te w sukni swojej ukrył. Wykradł się potem po cichu do ogrodu, i krok w krok idąc za jenijuszem, widział, jak tenże zatrzymał się pod jednym oknem. Tu co do słowa podśluchał rozmowę, którą jenijusz miał ze żoną kupca. Jeniusz przeehwalał się mocno przyniesionemi jej owocami i zapewnił, że żaden śmiertelnik nie jadł ich jeszcze, ponieważ one tylko w ogrodach rajskich od istot błogosławionych i od jenijuszów, łaskę nieba posiadających, rwane być

mogą. Słowa te zdawały się czynić wrażenie na onej niewieście; która jak cała pleć biała, lubiła szalenie wszystkie zagraniczne osobliwości, i jak uważać było można, nie długo dała się prosić o przyjęcie tak przepysznych owoców. Jeniusz wszelako nic więcej od niej za to nie zyskał, tylko pozwolenie, że może przyjść znowu z nowym zapasem świeżych owoców. Królewiczowi przyszło na myśl, czyby nie można korzystać z głupstwa zakochanego jenijusza i z próżności żony kupca. Przebrał się więc nazajutrz za ogrodnika, i udał się do kupcowej, wzięte owoce niosąc jej na sprzedaż. Kupiono je chętnie, i gdy głupi jenijusz, nie postrzegłszy, iż mu owoce skradziono, znowu ze świeżemi następującej przybył nocy, nie był najuprzejmiej przyjęty. Rozgniewana niewiasta nazwała go kłamcą i oszustem, ponieważ udawał, że z raju przyniósł owoce, we wszystkich prawie ogrodach rosnące. Biedny jenijusz nie wiedząc, co na ten zarzut powiedzieć, napróżno zaklinał się, że bynajmniej jej nie oszukał, i że drzewa, na których te precudne owoce rosną, mają konary ze złota, a liście ze szmaragdu. Uprzedzona kupcowa niczem jednak przekonać się nie dała i rzekła, że nie wierzy jego przysiędze, chyba że da jej lepsze dowody swoich zapewnień. Jeniusz nieuposażony ani szczególniejszemi darami wymowy, ani nader w sposoby przemyślny, nie wiedział, jak sobie poradzić, i coby zrobić, by się usprawiedliwić w oczach swojej kochanki. Po długiej rozwadze podjął się wreszcie wziąć z sobą człowieka jakiego do ogrodów rajskich, by

ten na własne oczy zobaczył drzewa, z których owoce te zerwano. Nie zachodziła więc już żadna trudność, jeno żeby kogo wynaleźć, coby się podjął tej niebezpiecznej podróży. Zarządził temu królewicz, ofiarując się na tę wyprawę. Jenijusz obwinał go z lekka w swoją długą szatę, wzbil się z tym ciężarem w powietrze, i spuścił królewicza do jednej z owych czarownych okolic, z których się niebo składa.

Trafiło się właśnie, że dawano tam w on czas wielką ucztę, i Bilmeryk — tak się nazywał ów jenijusz — którego jeno niestawało jeszcze, musiał przybywszy dla samej przyzwoitości pozostać. W brew zwyczajowi swojemu, zajął najodleglejsze miejsce, kryjąc jeszcze ciągle towarzysza w fałdach swojej szaty. Królewicz wynalazł sobie tymczasem otwór do patrzenia i mógł całe towarzystwo oglądać. Jakże wielką uczuł radość, gdy ujrzał w całym blasku piękności swoją ulubioną małp królowę, siedzącą na dyjamentowym tronie. Na jej obliczu dostrzegł wyraz smutku, co go nadzieją poilo, iż rozłączenie z nim i ona także czuła boleśnie. Wszelako; ile możności, poskramiał niecierpliwość, oczekując pomysłnej chwili, kiedy będzie się mógł jej ukazać. Tymczasem nie uszła uwagi jego rozmowa, którą miał Bilmeryk z jednym małym potwornym, i daleko jeszcze brzydszym jenijuszem. — »Jaka przyczyna« zapytał się ostatni, »że na dworze naszym od nie dawna tak smutno? zaiste umrę z nudów: i jeżeli się to nie odmieni, to na przyszłość starać się będę unikać takich uczt smutnych. — »Że tak śpiące życie

prowadzimy, na które tak słusznie się skarżysz«, odrzekł »Bilmeryk«, tego wszystkiego jest winną królowa małp: straciła dawną swoją wesołość, a co gorsza przez to niepotrzebne połączenie się z królewiczem Jndów postradała skórę małpią, i swoją srebrną lutnię. Co do niej samej, nie żałuje, bo sama na tem cierpi; ale co do lutni, to wszyscy cierpimy na tem, gdyż król nasz nie może słuchać żadnej muzyki, bez towarzyszenia tego tak melodyjnie dźwięcznego instrumentu; a tobie musi być wiadomo, że my dworacy nie śmiemy nosić na twarzach wypogodzonych promeni słońca, kiedy oblicze króla zasępione«.

Królewicz usłyszawszy to, wiedział co czynić: wysunął się nieznacznie z pod jenijusza i niespodziewanie uderzył w struny srebrnej lutni, której czarujące dźwięki po niebios gmachu zabrzmiały. Król jenijuszów zerwał się uradowany, a królowa małp zemdląła. Posiadanie lutni magicznej sprawiło królewiczowi nader uprzejme przyjęcie, gdy się zbliżył do władcy tych krain, dla złożenia mu uszanowania. Chętnie zrzekł się przyjaciół i krewnych dla owej niebiańskiej istoty, która tak dawno pragnęła powrócić w jego objęcia. Jeden Bilmeryk tylko stawszy się przyczyną tak szczęśliwego połączenia, najgorzej wyszedł w tej sprawie. Niemógł żadną miarą namówić królewicza, by z nim na ziemię powrócił, i niewiadomo z pewnością czy mu się kiedy udało przekonać kupcową o prawdziwości owoców rajskich.

Powietrze.

Ruś, Serby, Polacy, Słowaki i Litwa nawet jednakowo wystawia sobie powietrze w postaci niewiasty. W Serbii i Słowonii nazywają takową niewiastę Kuga. Stare klechdy w Polsce mówią o powietrznej niewieście jeżdżącej na wozie o dwóch kołach. Kiedy przed pięcią laty cholera grasowała i niemalże zrzała klęski, słyszałem górali ruskich, huculów, po tam tej stronie Prutu, i Ruś Pokucia, między Prutem a Dniestrem opowiadającą, że w postaci niewiasty (niewisty) obnoszoną była po siolach i miastach. Z tąd przybyło nowe w ich narzeczu przekleństwo: »Szob tebe cholera ne minula.«

A. Mickiewicz o tej niewieście pisze: »Lud prosty w Litwie wyobraża morowe powietrze w postaci dziewczicy; przytoczę w treści przynajmniej słyszaną niegdyś w Litwie balladę. We wsi zjawiała się morowa dziewczica, i według zwyczaju przez drzwi lub okno wsuwając rękę i powiewając czerwoną chustką, rozsiewała śmierć po domach. Mieszkańcy zamykali się warownie; ale głód i inne potrzeby w krótko zmusiły do zaniebdania takowych środków ostrożności: wszyscy więc czekali śmierci. Pewny szlachcic, lubo dostatecznie opatrzonej w żywności i mogący najdłużej wytrzymać to dziwne obłączenie, postanowił jednak poświęcić się dla dobra bliźnich: wziął szablę, na której było imię Jezusi i miecz Maryi, i tak uzbrojony, otworzył okno domu. Szlachcic jednym zamachem uciął straszdyłu rękę

kę i chustkę zdobył. Umarł wprawdzie, i cała jego rodzina wymarła, ale odtąd nigdy we wsi nie znano morowego powietrza.

Serce zajęte.

O wyjmowaniu serc ludziom przez czarownice mówi Wilk Karadziez, opisując podania serbskie. U nas oprócz tej klechdy, spisanej wiernie wedle starego podania, słyszałem w mojej młodości opowiadających, że dla zjednania miłości wzajemnej, czarownice przysmarzały serca ludzkie w rynkach z masłem, i za pokarm podstawiły.

Jeżeli dziewczyna przyszła do baby, narzekając, że ją parobczak niechciał kochać, czarownica usypiała dziewczynę, wyjmowała jej serce, i usmarzywszy, dała zjeść wskazanemu parobkowi, który natychmiast się w onej rozkochał dziewczynie, i ożenił. Dzieci wszakże z tego małżeństwa, a szczególnie chłopcy byli wielcy tchórze; bo matka dać im odwagi nie mogła, nie mając serca.

Słyszałem powieść także, że innemu parobkowi wyjąwszy jego serce czarownica rozgniewana, wsadziła piejaka (koguta). Od tej chwili chłopak nie chciał nic robić, jeno skakał po płotach i na grzędach, a ciągle piał jak kogut.

O skarżanych mostach słyszałem wieśniaków rozpowiadających. Gdym zwiedzał piaskową skałę, przewodnik mój opowiadał, że Szafraniec z piaskowej skały zamku zarzucał most na

najbliższą skałę, i wychodził na wyprawę. W okolicach Krzemieńca dwie góry, Czarcza i Zamkową miał łączyć most rzemienny, który Bona kazała zarzucić.

Porwany wichrem.

Na Rusi całej po nad Dniestrem, Prutem, Sanem, Stryjem, Łomnicą i Bugiem, jak w Polsce nad Wisłą, Narwią i Wartą, o tem do dzisiaj zasłyszeć można, sposób na to podają: nóż nowy utkwąć w progu izby, i zakląć tajemnymi słowy.

Według mniemania ukraińskiego ludu, wiatr kręcący się po polu, który wreszcie po tamtejszych nieobejrzanych płaszczyznach nierzadko widzieć, jest coś niezmiernie złego. Opowiadają przykłady o ludziach, których wichur ten spotkał na swojej drodze, i którzy odtąd nie wiedzieli, gdzie zniknęli. Inną razą nóż poświęcony, rzucony w słup kręcącego się wichru, upadł na ziemię w tem miejscu krwią obryzgany. Do tego wyobrażenia ludu stosuje się wiersz w Maryi Malczewskiego.

„Ale bo też na stepie czart harce wyprawiał.”

Z tego wyobrażenia czytamy przemowę kozaka do widma w zamku Kaniowskim.

„Stójże mi widmo! nóż to doświadczony,
I poświęcony, i dobrze ostrzony.

Rzuć go na wicher, co tańczy po drodze;

A gdzie się kręcił, świeżą krew zobaczysz.
Jeżeli tylko dotrzymać mi raczysz,
W Bogu nadzieja! dobrze cię ugodzę.”

Djabli taniec.

W powieści tej, djabeł zmuszony wypełnia dół od kartofli złotem. Krążą przecież dotychczas podania, że bies zakupywał za życia ludzkie dusze. Bardzo powszechna jest powieść o kmieciu, który potrzebował pieniędzy. Poszedł więc do lasu, i zaczął głośno przywoływać djabła.

Stanął wezwany, i zrobił umowę z kmieciem, że mu da ćwierć dukatów; a jeżeli w oznaczonym czasie nie powróci, duszę jego po śmierci porwie jak swoją. Kmieć w ciemiej niebity, wcześniej wykopał dół głęboki, i postawiwszy nad nim ćwierć bez dna, czekał w umówionej dobie.

Zerwał się wicher gwałtowny, i zaraz bies stanął z ogromnym worem złota. Wsypał w ćwierć oną, i aż pokręcił głową z podziwu, widząc że złoto znikło w dole: przynosił więc wór po worze, i dziewiątym dopiero ćwierć całą wypełnił. Wieśniak zabrał złoto, i na czas wyznaczony wprawiwszy dno w ćwierć tę samą, oddał djabłu pełną dukatów, a ten się ani domiarkował podstępui kmiecia. Tym sposobem zyskał nie mało pieniędzy i był bogaty.

Inna powieść znowu zamiast ćwierci garnek dziurawy podaje, i ten warunek oddania pieniędzy, aż wszystkie liście z borów i lasów opadną.

Nadeszła zima, bies o swoją należytość upomina; ale wieśniak pokazuje mu jodły i sosny zielone. Rozgniewany biegnie i obrywa rękoma i zębami jodły i sosny; ale widząc, że rady nieda, uciekł zawstydzony, że go kmieć oszukał.

Jonek.

Cała klechda jest wiernie spisana z podań ludu polskiego i ruskiego. Do dzisiaj po nad Prutem i Dniestrem wybiera lud drzewo na skrzypce lub fujarki, które szumu wody nie słyszało ni piania koguta.

Dżuma-homen.

•Kiedy dżuma grasowała, całe wsie stały pustkami; koguty wszystkie ochryły i żaden nie zapiał nigdy.

Dotąd na całej Rusi niemal, gdy gospodarz wystawi nową chatę, zamyka w niej koguta. Jeżeli w nocy zapieje, bierze to za szczęśliwą wróżbę; w przeciwnym razie niewprowadzi się do niej, bo jest pewnym, że djabeł zajrzał do nowego mieszkania, a pietuch z przestachu zapomniał głosu.

Wedle podań ludu, w czasie morowej zarazy, widma przybierają na się tysiączne postacie pod którymi tem łatwiej mogliby ludziom zaszkodzić. Działają już pojedynczo, już w masach

W pierwszym razie najbardziej wystrzegać się potrzeba podwiania czyli oddechu widma: na ten koniec należy nie spać blisko drzwi lub okna. Widziano nie raz jak znaleziono na drodze rzeczy, bogactwa, niewiedząc zkąd zjawione, przerzucały się, czyli przemieniały w dżumę, która oddechem swoim zabijała. Do wsi wchodzić nie wolno było jak tylko z rana; bo o godzinie południowej już widma rozpoczynają gonitwy swoje. Taki wtedy strach, taka tęsknota obejmowały tych, co przybyli z lasów dla obejrzenia domów, lub dania pozostałym pomocy, że uciekali co rychlej. Koguty na cały czas zarazy chrypną, nie pieją, coś im po połowie przegryza ogony; psy nieszczekają: za zbliżeniem się tylko widma, które im jest widzialne, warczą, rzucają się na nie i ostrzegają panów swoich o niebezpieczeństwie: w drażnieniu ich widma mają szczególniejsze upodobanie. Ci, co się po lasach błakali, słyszeli i widzieli naocznie to i nieraz, jak z odgłosem grzechotek, bębnow, piszczałek i śpiewów ze wsi do wsi gościńcem przeciągał homen. Homen ten, czyli orszak mar, otaczał siedzącą na wzniosłym wozie dżumę. Składające go mary pomnażały się z każdą chwilą, nie wiedząc zkąd; każda rzecz ożywiała się, i przerzucała w widmo. Jeżeli odstąpili na chwilę od bud swoich, niewidoma ręka tysiączne robiła im psoty: tu rozrzuciła ogień, tam poburzyła sprzęty, owdzie popsuła napoje i pokarmy, słowem nie szczędzono niczego, co tylko przekorą i złością zwać się może.

Całe rodziny łączyły się z innemi do bud

wspólnych: niechże jedna osoba zachorowała, rzucali ją wszyscy i rozpierchali się dalej.

Zaraza do nowego tylko roku trwać mogła. Na nowy rok, przed świtem, zbierały się gromady do wsi. Odbywało się nabożeństwo w cerkwi; potem ksiądz poświęcał każdą chatę: jeżeli gospodarze jej zostali, wchodzili do niej oknem; bo drzwiami nie godziło się: poświęcona wewnątrz, znowu mieszkalną być mogła.

Nowy rok szczególniejszą miał własność umarzania dżumy, co w rzeczy samej z mrozów wynikać mogło.

Madej.

Oprócz powieści o Madeju, lud nasz zachował pamięć piekielnego łoża w przysłowiu groźnem.

•Włożą cię w piekło na Madejowe łożo,
Gdzie same brzytwy i noż .•

O rozbójnikach rozliczne krążą dotychczas powieści, ale imiona ich zginęły w pomroce wieków.

U górali słyszałem pieśń jedną o rozbójniku, równie jak Madej okrutnym.

•Pod gaikiem, pod zielonym,
Orze dziewczę jednym koniem.
Jeszcze skiby niezorala,
Matusia ją zawolala.
— •Chodźże córko! choć do domu:
Wydam ja cię nie wiem komu;
Wydam ja cię za jednego,
Za hetmana zbójckiego.•

Zmuszone dziewczę, oddaje rękę zbójcy; a kołyszac z nim spłodzonego syna, śpiewa mu przeklęstwo, które wisi nad jego głową. Usłyszał je mąż srogi: wbiega, a żona już inaczej dla dziecińy nuci:

•We winie bym cię kąpała,
W paciaty cię obwijała.•

Lecz rozbójnik okrutny słyszał dobrze przeklęstwo, niepodarował jej tego:

•Obciął jej ręce i nogi;
I rzucił na rozstajne drogi.•

Zbójcom szczególniejszą tajemnicę usypiania ludzi przypisują dawne podania: oni to bowiem biorą rękę trupa, smarują tłuszczem i zapalają tyle palców, ile chcą, by osób w napadniętym domu snem twardym, niezbudzonym spało: nadto w takąż liczbę szklanek chuchają, przewracając je dnem do góry.

Co w klechdzie o Madeju wyczytujęm, jak dusze zabitych z jabłonki w postaci gołąbków ułatywały, wyobrażenie takowe dotąd jest zwyczajne między ludem polskim i ruskim; w pieśniach nawet mamy to przechowane.

Zabójca Podolanki zaniósł jej ciało na rozstajne drogi

•Tam daleko, na Podolu
Jest tam rola nieorana,
Tylko rydlem pokopana.
Na tej roli kruków siła,
A koło niej tam mogiła;
Na tej mogile wyrósł ci dabecek
Na niej bieluchny siada gołąbeczek.•

Twardowski.

»Niemają wieki zeszłe« mówi Fr. Siarezyński — »z liczby wstawionych ludzi żadnego, o którym by było więcej wspomnienia, a mniej pewnej wiadomości, jak o życiu i dziełach Twardowskiego. Ród, imię jego nawet, czas życia i zejścia wiadome nam nie są.«

Ze był szlachecciem, jest dowód jakikolwiek w nazwie samej i w powieści ludu, że gdy się zapisał czartowi; a dopominającego się o skutek danego słowa, Twardowski dotrzymać nie chciał, i różnych używał wybiegów, wtenczas, aby go przekonał i zawstydził, rzekł czart, iż będąc szlachecciem, słowa danego dotrzymać powinien: *Verbum nobile, debet esse stabile*.

Ze w Krakowie się uczył, w tem się ślad pewny znajduje, iż podług podania na Krzemionkach za Wisłą w Podgórzu, schadzki miewał z czartami, tam się z nimi umawiał, gdzie miejsce jedno wydrażone szkoły Twardowskiego ma nazwisko. W wieku jeszcze przeszłym ukazywano w Krakowie dom niedaleko bramy grodzkiej, którego ściany pęknięte i nad cknem urwany kawał muru, miały być sprawą zdziałaną od czartów, gdy z niego Twardowskiego opierającego się porwali.

Ze żył za czasów Zygmunta Augusta, dowodzi powieść następująca, umieszczona w rękopisie Joachima Possel'a.

Żaloszny król Zygmunt August, po stracie

ulubionej swej żony Barbary Radziwiłłówny, cień jej przynajmniej oglądać pragnął. W wychowaniu niewieściem młodości swojej, nasłuchiwał się tysiącznych powieści; jako dusze osób zeszłych, lub same dobrowolnie lub wywołane sztuką czarodziejską, ukazywały się żyjącym. O możliwości więc nie wątpił; chęci swej zwierzył się dworakom, ubiegającym się w staraniach zadosyć uczynienia żądzy pana swego. Sprowadzono zewsząd do dworu ludzi w sztuce czarodziejskiej biegłych, obiecano sowitą nagrodę, ktoby dokazał tego, iżby król, skutkiem swych chęci, pocieszony został. Podjął się tego Twardowski, czego inni nieśmieli i królową Barbarę, chodzącą, królowi pokazać przyrzekł. Zawierza król przyrzeczeniu i czasu ku temu przeznaczonego z największą niecierpliwością oczekuje. Ostrzega tylko Twardowski Augusta, aby w milczeniu i spokojnie siedząc, na widok ukazającej się królowej z miejsca się swego nieruszył, inaczej za duszę i za życie króla niezarecza.

Poddaje się August tak twardemu i tak trudnemu do zachowania warunkowi, byle dopiął celu swych chęci. Nadeszła pożądana chwila: wywołana z cieniów śmiertelnych zjawia się mara. Ledwie zdołał Twardowski na miejscu króla zatrzymać, tak żywo się porwał i chciał lubą marę uściskać, a w tem widmo zniknęło.

Stać się to nie mogło jak po roku 1551, w którym królowa Barbara Radziwiłłówna w krótkce po koronacji swojej w Krakowie umarła. Żył więc Twardowski w połowie XVI-go wieku.

Otóż drugi wyjątek z pomienionego rękopisu Possel'a o Twardowskim:

»Mieszkał w Bydgoszczy szlachcic polski, który piękny majątek, osiągnięty po przodkach, zmarnowałszy po kraju się włóczył. Los wtedy Twardowskiego do tegoż miasta sprowadził. Z nim marnotrawca znajomość zawiera, stanu swego się zwierza, aby go swą cudowną sztuką z niedostatku wydźwignął prosi. Lituje się Twardowski; proszącemu daje radę, zalecając, iż od ścisłego jej dopełnienia wszystko zależy. »Idź!« rzecze — »i szukaj pustej na ustroniu chaty, i miawszy z sobą dziewięć pieniążków ani mniej ani więcej, będziesz je bez ustanku liczył, powtarzając zawsze od jednego do dziewięciu, i na odwrot od dziewięciu do jednego, aż dobrze dzień zaczniesz. Strzeż się zaś najusilniej pomyłki, boby to wszystko zepsuła. Strachów się żadnych nie lękaj; bo ja cię zapewniam, iż te nie złego ci nie zrobią. Gdy to dopełnisz, staniesz się bogatszym niżeli byłeś panem, i nigdy ci na pieniądzach zbywać nie będzie.« Słucha rady chudzina; znajduje pustą chatę, siada i natężoną myślą, aby się nie pomylił, dziewięć groszy rachuje. Już dzień miało, gdy czart w Twardowskiego postaci przed nim staje: czyby się nie omylił? pyta. Ten z radością, że nie, odpowiada. »Rachujże!« rzekł mu dalej — »bo dzień nie daleko« — i zniknął.

Chce nieborak liczyć, ale na czym stanął nie pamięta. Otóż po bogactwach! Wychodzi pełen rozpaczy, ale mu diabli drogę zastąpili. Od nich stłuczony i zбитy ledwie się biedak do mia-

sta zaczął; a żalując swego postępu, resztę życia pokucie poświęcił w mniszym kapturze, i w Bydgoskim klasztorze reformatem został. Taka to czarodziejska sztuka! Taki to czarownik!

Podług dawnych podań, miała posiadać księżnica akademii krakowskiej rękopis, znany niegdyś pod imieniem księgi wielkiej liber magnus, który był poczytany za dzieło Twardowskiego. Bajano o nim, że był na łańcuchu żelaznym przykuty i ciężarami przywalony, jako czarownicze dzieło, do którego zajrzeć niegodziło się i nie śmiało. Ale trzeba było tej nauki, tej gorliwości w badaniu prawdy, która ożywiała zmarłego dziś i żalowanego szczerze J. S. Bandtkie'go, aby odkryć błąd, wsparty ciemnych wieków powagą. Wyświecił on i ukazał, zgodnie ze zdaniem Dobrowskiego, iż to jest dzieło właściwie Pawła z Pragi, Zidek zwanego.

Adam Naramowski, jezuita, w dziele swem: »Facies rerum Satmaticarum.« (lib. 1. cap. 2 p. 28), rzecz szczególną o pomienionym rękopisie podaje.

»Z pazura lwa poznać, a z dzieł życie człowieka. Jakie życie prowadził ów sławny czarodziej Twardowski, jak je skończył, wykazuje owe dzieło jego czarodziejskie czyli rękopis, który po śmierci króla Zygmunta Augusta z daru jego, z wielu innymi księgami wileńskiemu domowi jezuitów się dostał; o którym Szpot pisze, iż słyszał z ust księdza Daniela Butwiła, na ów czas pomocnika przełożonego nad księgozbiorem wileńskim, który mu wskazał miejsce osobne, gdzie

książka rzeczona Twardowskiego łańcuchem żelaznym do muru przykuta była. Gdy ów ksiądz ciekawością zajęty, coby zawierała, czytać ją zaczął, dał się słyszeć zgiełk i łoskot okropny w księżnicy: zbiegły się snadź złe duchy, a ksiądz przełęczniony rzuciwszy książkę, ledwie do pobliskiej izby zemknąć zdążył, i całą noc potem z przestachu bezsenną przepędził. Nazajutrz rano wezwawszy drugich, wszedł do księżnicy; ale już owej książki nie znalazł, ani mógł wiedzieć gdzieby się podziła. Najpewniej gdzie pisarz, tam się i książka dostała!»

»Zdarzenie to,« mówi przywiedziony Fr. Siarczyński — »mogło przypaść około r. 1620, które Szpot słyszane od Butwiła zapisał a Naramowski w sto lat prawie drukiem ogłosił r. 1734«. Można sądzić, aby to zniknięcie rękopisu miało znaćzyć przeniesienie się jego nie odgadnione do biblioteki akademii krakowskiej. Można dać wiarę tej powieści, którą Naramowski w niepewnym rękopisie wyczytał, a której potwierdzenia z żadną inąd nie mamy? Zeznanie Butwiła załęcznionego, pomieszanego i łatwowiernego można za prawdziwe poczytać?

Za jedyny pomnik, który nam pozostał, Twardowskiego, uważać można owe kruszcowe zwierciadło, które w Węgrowie na Podlasiu w skarbcu kościoła miejscowego zawieszone, czasów naszych dotrwało. Wysokie jest calów pol. 2½, szerokie 19, u dołu przez pęknięcie uszkodzone, w ramy drewniane, czarne, kształtu staroświeckiego, oprawne. Używać go miał niegdyś Twardowski

za narzędzie do swych czarów, okazywać w nim złych duchów w różnej postaci, albo dusze i osoby zmarłe, które kto widzieć za jego pomocą żądał. Trwa dotąd między ludem podanie, iż patrzący się w nie przestraszani bywają poczwara okrobnych widokiem: dla tego wysoko zawieszone zostaje. Światły badacz Teodor Narbutt, który to zwierciadło oglądał i opisał, uznał, że jest z kruszcu białego, ale jakiego nie wyraża; najpewniej stalowe być musi. Napis biały w wierszach dwóch łacińskich, które pobożność na ramach wykreśliła, to znaczenie zawiera: »iż zwierciadło, którego Twardowski do sprawy sztuczarodziejskich używał, teraz ku czci boskiej służy:«

•Luserat hoc speculo magicas Twardovius artes,
Lusus ad iste Dei versus in obsequium est. (a)

Fr. Siarczyński, w czasopiśmie naukowym, zbija dalej domniemywania zbyt płocze, Twardowskiego z Faustem podające za jedną osobę. To jako rzecz zbyteczną, z niniejszych przypisów wypuszczam. Krytyczne badania, prostujące zebrane wiadomości tu podane przez Fr. Siarczyńskiego i obaśniające tak sławną postać ludową Twardowskiego, znajduje czytelnik w dziele uczzonego W. A. Maciejowskiego p. n. Polska i Ruś T. IV. Warszawa 1842 str. 376.

a) »Podgórze zbudowane jest na poziomie Krzemionek, wzgórków z kamienia wapiennego złożonych, w pasmie których pospólstwo pokazu-

(*) W tem zwierciadle Twardowski pokazywał czary,
•Bogu jednak należne oddawał ofiary. •

je w skałach miejsce nazwane katedrą Twardowskiego, gdzie ten czarnoksiężnik, jak go dawne podanie nazywa, z djablami narady miewał. (Ambr. Grabowski. Kraków i jego okolice 1830, wydanie drugie, str. 56).

b) »Schodząc z wyższych krakowskich wzgórzów, ciągiem pięć mil najprzyjemniejsze i rozliczne widoki oku stawiających, spostrzegać się daje szerokie piasków morze. W koło okropna pustynia, której jednakowość małemi krzakami sosnowemi gdzie niegdzie przeplata; w ostatku u poziomu góry i ruin Rabsztyna grodu, leżą na równinie gruzy i rozwaliny miasta, smutne, czarnym posępny starożytności powleczone kolorem. Zbliżając się, zaledwie błyszczące jeszcze nieco dwóch kościołów wieże dają poznać, że to jest niegdyś wielkie, piękne i bogate w kruszec srebrny królestwa polskiego miast Olkusz.« (T. Święcki. Opis starożytnej Polski T. I. str. 126, wyd. 1828 r)

c) Osobliwa skała pod zamkiem Piaskowej skały przez zbyteczną naukowość otrzymała najniewłaściwszą nazwę »palki herkulesa.« Lud okoliczny nie może rozumieć tak szczytnego nazwania, i nazywa ją po swojemu Skałą sokołą; bo na niej podług podań wieśniaków, z którymi rozmawiałem, miały się gnieździć dawniej sokoły. Żadnego więc stosunku n.ema z Herkulesem; my się przeto nazwy urojonej trzymać niemożem ani powinniśmy, kiedy jest swoją, a własną

d) Co lud nasz opowiada o Twardowskim, że jeździł na kogucie, podobną wiadomość zawie-

ra kronika czeska, która z wszelką powagą opisuje cuda czarownika Żyto. Oto jej słowa:

»W dziesięć lat po męczeńskiej śmierci świętego Jana Nepomucena, zaślubił król Wacław Zofię, córkę księcia Jana bawarskiego. Sam książę odprowadził zaślubioną do Pragi; a wiedząc, że szwagier jego wielkim jest przyjacielem osobliwości, przyprowadził z sobą pełny wóz czarodziejów. Gdy najdoskonalszy z nich dnia jednego dwór cały zabawił, zbliżył się do niego czarodziej króla Wacława Żyto, rozdarł sobie usta po uszy i połknął rywala z całym jego aparatem, obuwie tylko odrzuciwszy. Potem oddał całą tę zdobycz do kubła wody, a widzowie śmieli się wiele, widząc tak skąpanego Niemca, po czem inni towarzysze nie śmieli już dalej się popisywać. Tem dzielniej dokazywał Żyto, pokazując się to w swojej, to w obcej postaci, to w złotej, to grzebnej odzieży.

Gdy się cesarz przechadzał, Żyto płynął koło niego w łódce po ziemi; a gdy cesarz jechał, on dążył obok niego na małym wózku, przez koguty ciągnionym. Niemniej ubawiał gości, zamieniając im ręce podczas stołu, to w jelenie, to w konskie popyta, aby jeść niemogli. Raz gdy na ulicy zgłębiono posłyszano i wszyscy z okien głowy wychylili, czarodziej obciążył je w ogromne jelenie rogi, że się z okien wydostać nie mogli, a on tym czasem smaczno zajadał i sijał!

Na dowód, że może mieć pieniędzy ile zechce, zamienił raz 30 stogów siana w tuczne wieprze, które wypędzić kazał na pasze obok trzodv bo-

gatego, ale skąpego piekarza, nazwiskiem Michałek, któremu potem tanio je sprzedał, z ostrzeżeniem, aby ich nigdy niepoił. Gdy piekarz tej rady nie słuchał, ujrzał, iż wnet wieprze jego w stogi siana zamieniły się napowrót, i popłynęły z wodą: chciał więc odebrać swoje pieniądze. Znalazł czarownika, śpiącego w gospodzie na ławie, i w gniewie chwycił go za nogę, by go obudzić; ale przestraszony, zobaczył wyrwaną nogę czarownika w swoim ręku. Żyto narobił wiele hałasu o nogę, której stratę Michałek drogo musiał opłacić. Dotąd jest przysłowiem u Czechów o złem kupnie:

»Zarobił, jak Michałek na wieprzach.«

e) Podania o Twardowskim, że używał czarodziejskich zwierciadeł, dają do mniemania, czyż on nie doskonalił optyki i katoptryki,^{*)} o której w XIII-tym wieku Turyngo, polak, czyli z matki Turyngianki, a z ojca polak, Witellon, w znanych i rzadkich edycjach: »Optice libri decem.« i w rękopisie Biblioteki Florenskiej pisał.

(Uwaga Tadeusza Czackiego.)

f) Djabeł miał mieć przemowę w języku łacińskim.

g) Porównanie rozlicznych wież Krakowa do nóg pajęczych, jest dosłowne ludu.

h) Podania ludu mienia go twórcą znanych kantyczek, rodzaju pieśni nabożnych. W istocie noszą one na sobie cechę starożytności dalekiej

^{*)} Nauka o odbijaniu promieni światła.



Uderza, obala wroga na ziemię i bez litości zabija. (str. 137)

i) Wiadomość tę, że pokazywano czarną plamkę jako ciało Twardowskiego, mam od głośnego w dziejach panowania Stanisława Augusta, Kuźmy, któremu ojciec nie raz o tem rozpowiadał.

Rozliczne powieści, jakie krążą o Twardowskim między ludem, nie zgadzają się o końcu żywota czarodzieja. Gdy jedne zawiesiły go w powietrzu, jako uratowanego kantyczką, z kądem i przy słowie między ludem: »Ratuj się jak Twardowski kantyczką.«; drugie go umieściły w piekle jako starszego między czartami diabła. Gdy jeden z ludzi odwiedził raz piekło, zobaczył w nim czarodzieja; zwano go tam »kulawym Twardowskim,« bo i upadał na nogę.

Do badań Fr. Siarczyńskiego dodać należy, że na dworze Zygmunta Augusta niepoślednie używał sławy; bo to zaświadcza Łukasz Górnicki w swoim Dworzaninie. Z podań ludu napisał Adam Mickiewicz balladę pod napisem: »Pani Twardowska,« którą naśladował wybornie Hulak Artemowski po małorosyjsku, z zastosowaniem do obyczajów ludu ruskiego.

Boruta.

1) »Łęczyca, w pośród błot, nad Bzurą, murem niegdyś obwiedziona i zamkiem, przez Kazimierza Wielkiego wzmocnione miasto. Zamek tutejszy jest wstawiony z powieści pospolitej o

djable, Boruta zwanym, tak jako we Francyi zamek Lusignan o Meluzynie.«

2) Piskorz, nazwa ta obejmuje jedynie szlachtę łączycką: dawniej ztąd bywały częste poje dynki z Mazurami.

3) Zręczny i dobry rębacz oparłszy plecy o ścianę, mógł się wielom bronić, bo nigdy nie używano broni ognistej. Gdyby wśród takiej bójki który zdradliwie wystrzelił, wszyscy by uderzyli na niego.

4) Dotąd lud wyobraża często diabła w postaci sowy. Idąc z jednym wieśniakiem przez las, ciągnący się szeroko pod miastem Białą, w Podlasiu, zbłądziliśmy z drogi; a ścieżkami rozlicznymi zwiedzeni, weszliśmy w bezdroże. Noc była ciemna, i jak uważał mój przewodnik, żeś my się wiele oddalili z naszego kierunku. Przedzierając się przez gęstwinę, zarośle i błota, z trudem przysparzałem kroku. Wszystko dookoła milczało, głos tylko sowy rdzawej (*Strix stridula*), głosowi śmiejącego się człowieka podobny, przerywał ciszę. Zaledwie pierwszy jej głos usłyszał wieśniak, stanął przerażony, nie śmiał posunąć nogi, obracając się do mnie, rzekł cichym i drżącym głosem po rusku:

— Czujecie?

— Co? zapytałem zdziwiony.

— Czujecie? powtórzył, to czart! —

śmieje się, że nas obłąkał, i z tego cieszy się teraz.

To wyrzekłszy, zaczął szeptać jakieś zaklęcia,

co chwila żegnać się i pluć ustawicznie na wszystkie strony.

Djabel wedle podań ludu, często sowy i pu-
chacza przybiera zostać.

5) Podobnie przeciętą miał piętę ślusarz
z Bruśniku, o którym czytamy w Ziewonii 1822 r.
takie podanie:

•O mil trzy, na wschód Lusławic, leży wieś
Bruśnik; na jej gruntach znajduje się znacznej
długości pieczara. W tych lochach, jak słynie między
ludem, jest skład niezmiernych skarbów, których
szatani strzegą. Ztąd jest powieść o kulawym
ślusarzu, który niedawno umarł. Smiały ten czło-
wiek i potrzebujący, doszedł, że w pewne święta
djabli się rozechodzą i zostawiają pieczarę bez ża-
dnej straży. Korzystał z pory, udał się do stra-
szego miejsca: nie zastał w samej rzeczy niko-
go z duchów, nabrał więc pieniędzy, ile mu się
spodobało i wrócił szczęśliwie do domu. Pierwsza
ta wyprawa zachęciła go do podobnych częstszych
i zawsze pomyślnych. Raz chwyciwszy, nadzw-
yczaj zabawił przy rabunku dłużej niż wypadło;
djabli nadchodzą, łapią go na gorącym uczynku:
nieborak znalazł przynajmniej dość czasu wym-
knąć się rozgniewanym duchom; ale uciekając,
tak pospiesznie drzwi za sobą zatrzasał, że mu
piętę ucięły, i z tej przyczyny chromał aż do
śmierci.

W wielu województwach Polski i na Rusi,
lud powszechnie uważa, że najulubieńszem po-
mieszkaniem djabła jest stara i spróchniała wierz-
ba. — W niej przemieniwszy się w puszczyka



Pochwycił proporzec i zniknął z oczu zdziwionych. (str. 142.)

(Strix ulula), lubi śmierć ludziom przepowiadać. Ztąd wieśniak wierzby stojącej, choć spróchniałej, nie ścina, aby nie obrazić djabła, co w niej przesaduje i w rozmaitych postaciach okazuje się ludziom. Z tego to przesądu bierze początek przysłowie:

»Zakochał się, jak djabeł w suchej wierzbie«,
oznaczające miłość gwałtowną i zapamiętałą.

Piszczałka.

Cała ta klechda jest nacechowana słowiańskim piętnem. Równie w powieściach jak i pieśniach ludu, znajdujem jedną barwę rodzimą. Dusze zabitych niewinnie zwykły przybierać postaci białych i siwych gołębi, a na mogiłach wyrastają dęby, jawory, brzozy i wierzby.

»A na jej mogile wyrost ci dąbeczek,
I tam siada, i tam siada biały gołąbeczek«.

Drzewo tak wyrosłe nie ma w sobie zwyczajnych soków, ale chowa za korą czerwoną krew zabitej i pogrzebanej istoty. To napomyka nasza klechda, to samo wyraźnie opiewa pieśń Słowaków zbioru Szafarzyka.

»Szła Anna po wodę, na łąkę zieloną, nie mogła wody zaczerpnąć; matka ją przeklęła, a córka zdrewniała zielonym jaworem:

I szli dwaj młodzieńcy,
Obaj byli grajki:
Ach, bracisz u miły!
Dużoś-mi świata przeszedł

Jeszcześmy takiego
Jawora nie naszli:
Utnijmyż sobie
Po jednych skrzypeczkach,
A po drugich smyczkach.«

I poczęli rąbać.
Krew z jawora tryśnie!
Wnet się polekali
Na ziemię popadali,
Ona przemówiła:

— »Nie się nie lękajcie,
Lecz sobie utnijcie
Po jednych skrzypeczkach,
A po drugich smyczkach;
Idźcie wygrywajcie,
Żałośnie śpiewajcie
Przed mej matki wroty:
»Ta to jest ta panna,
W jawora zakłeta.«

I szli ci młodzieńcy,
Żałośnie grający.
Gdy matka słyszała,
Do okna biegała.

— »Ach! młodzieńcy moi,
Nie róbcie mi żalu;
Wszakże ja go dosyć mam,
Gdy Anusi mej nie mam.

Koszalki opałki.

Powieść ta jest jedna z najpowszedniej znanych tak w Polsce jako i na całej Rusi. Słyszałem ją powtarzaną równie nad Dniestrem, Prutem, Stryjem, Łomnicą i starym Bugiem, jak nad Narwią, Sanem, Nidą i Wisłą.

Jan Nepomucen Kamiński, znany zaszczytnie pod wielu względami w literaturze naszej, w operze swojej »Twardowski na Krzemionkach«, dotąd z upodobaniem wystawianej w teatrze Lwowskim, wyprowadził na scenę owe pałki cudowne z niniejszej powieści; jak na zawołanie wyskakują same z kobiałki i biją porządnie plecy wskazanej osoby.

Czarownik i uczeń. — Trzej bracia —
Duch pogrzebanego. — Zaklęty w wróż.

We wszystkich tych klechdach widzimy dziwne przemiany ludzi w ptaki i zwierzęta. Jakkolwiek te pomysły można uważać za obce, wędrownie, jednakże i u nas były między ludem od dawna znajome. Wiele jeszcze szczątków do zaklęć i zamawiania chorób, przechowało się tak w Polsce jako i na całej Rusi, które lud pod największą ukrywa tajemnicą. W pieśniach ludu tak polskich jak ruskich znajdujemy wiele na to dowodów, co mocno przemawiają, że wiara, w takowe przemiany należy do bogosłowa słowiańskiego.

Szklanna góra.

O szklanej górze wiele nasłuchać się można dziś jeszcze między ludem polskim. Opowiadają o potępieńcach, że są tacy, którzy na nią z wiel-



Przynosił więc wór po worze. (str. 167).

kim trudem wdrapywać się muszą, a z samego wierzchołka nie wstąpiwszy nań nogą, oślizgają się i spadają, szwankując: bo takim naznaczono.

Starodawne u Litwy było religijne podanie, że dusze po śmierci na straszną wdzierać się muszą górę, dla czego palili z umarłym rysie i niedźwiedzie pazury. M. Strykowski w kronice swojej o tem mówi:

»Rysie i niedźwiedzie paznokcie palono z umarłymi, wierząc, iż przyjdzie dzień, w którym zmarli znowu do żywota przywróceni będą; a jeden Bóg jakiś — którego nie znali, tylko wierzyli — wszechmocny i nad wszystkie Bogi największy, miał wszystkich ludzi, dobre i złe sprawy sądzić na górze wysokiej i przykrej, na którą, aby tem snadniej i bezpieczniej wleźli, paznokciami rysiami i niedźwiedziami myśleli sobie pomagać«.

Teodor Narbutt, wedle powieści gminnej żmudzkiej, około Kretyni, pisze.

»Jest góra wielce wysoka, stroma, nie dostępna skała, nazywająca się Anafielas, na którą cienie umarłych wdzierać się muszą. Dla tego paznokcie długie, pazury zwierząt, oręże, konie, sługi i t. p. potrzebne są dla prędszego dostania się na nią. Im zaś człowiek był bogatszym, tem trudniejszy mu przystęp; gdyż mienia ziemskie ciążą na duszy: ubogi lekki jak piórko, może się wdrzeć na górę, kiedy Bogów nie obrażał w życiu. Inaczej grzesznego bogacza smok Wizunas, pod górą mieszkający, oboźre i równie jak uboższego grzesznika złe wiatry uniosą. Istota boska,

mieszkająca na szczycie tej góry, która pełną jest sprawiedliwości, sędzi umarłych z ich postępków za życia. Każdy według jej sądu odbiera nagrodę lub wieczną karę«.

Mniemam, że wyobrażenia te religijne Litwinów, tak blizkiego pokolenia, dały początek pomienionej klechdzie którą dodatki późniejsze pokrzywiły.

Wystawiona tu jaskółka, użyta jako posłaniec z zamku szklanej góry, jest pomysłem słowiańskim. Jaskółka, zwiastunka dziennego świtu jak mówi Słowak w Węgrzech.

»Lastowicka lieta

Poweda że świta.«

Zwiastunka wiosny wedle dawnej przypowieści:

»Jedna jaskółeczka nie uczyni lata,

I jedna wioski nie uczyni chata.«

— Jest posłańcem miłosnym w pieśniach ludu: polskich, czeskich i słowackich. Przestajem na jednym przekładzie ze zbioru Szafarzyka. Ciekawcy czytelnik znajdzie ich więcej w osobnych zbiorach pieśni ludu.

Zakochany młodzian pyta:

Cóżeś mi przyniosła czarna jaskółeczka?

— Doniosłam ci liścik od twego serdeczka, (kochanki).

Wali-góra Wyrwi-ðqb.

W podaniach niemal wszystkich ludów, siła rej wodzi. Uczony Duńczyk Thiele, zbierający

dawne podania swego narodu i wszelkie pomniki — a wydaje opis zeszytami, — przytacza podania o Olgar'ze duńczyku, co sztabę żelazną uściskał na miecze, co sztabę żelazną uściskał na miecze, co sztabę żelazną uściskał na miecze.

Nasze stare podania mówią o ludziach, co tury i żubry za rogi z lasów przyciągali; niedźwiedzie, przełamane siłą samej ręki, jednym zamachem pięścią zabijali.

Co ta klechda wspomina o cudownych trzewikach i kobiercu podobne podania w Szkocyi opisuje Walter Scott w jednej z swoich powieści.

Brat i siostra.

W tej powieści widzimy karę na siostrze, że się zapada w ziemię dla tego, że ją brat chciał pojąć za żonę. Lud w niej chciał wystawić grzech ciężki, ścigający nie szanujących związku tak blizkie pokrewieństwa, które dotąd ze czcią poważy.

Rusini po wielu jeszcze miejscach skrupulatność w tym względzie tak daleko posuwają, że, gdy parobek córkę swego ojca chrzestnego ojca pojąć za żonę, idzie prosić o rozgrzeszenie miejscowego proboszcza.





BGZs 38179

W nakład

2. Czytanka dla 480.--
9. Lekarz domowy. Książka ta wyszła już w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, co jest najlepszym dowodem, że musi być dobra. Nowy nakład. 480.--
10. Listownik dla rzemieślników, włościan i robotników, z wzorami polskimi i niemieckimi, oraz z dodatkiem słowniczka polsko-niemieckiego i na odwrót. 40.--
12. Nauka gotowania dla użytku ludu polskiego. Nowy nakład. 180.--
14. Rok kościelny, napisał ks. Bieheki, dla użytku 125.--
18. Robinson K. zec. Zajmująca powieść z ilustracjami w oprawie. 430.--
22. Zeczarów i tajemnic przyrody (w druku) —
25. Wierszanka pieśni polskich. Zawiera 250 pieśni świątecznych. 80.--
26. Pieśni Katolickie. Zbiór najczywalszych pieśni dla ludu rzymsko-katolickiego. 120.--
31. Dzieje narodu polskiego z kolor. obrazkami. 110.--
36. Z wiesci o nowych technich. 50.--
33. Kalendarz religijny dla dzieci i młodzieży chłopskiej. 50.--
40. O pieniądzu, o pracach niemieckiego stanu w walce polskiej, o przyczynach drożyzny. Napisał Wiktor Kulerski. 40.--
- Przez śniegi i pożogę, powieść dla młodzieży. 120.--

Księgarnia Wyszowska Gazety Grudziądzkiej
Grudziądz-Tuszewo.